Miesięcznie 95 groszy
Prenumeratę przyjmuje każda poczta!

1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok III. Niedziela, dnia 27 stycznia 1935 r. Nr. 4.



NASTROJE

Idę...
W kraj cichych świerków i sosen dumnych...
Na chwilę małą rzucam gór szczyty,
Z pamięcią nart śmigłych i skoków szumnych
Idę posłuchać, jak leśny lud gwarzy —
Roi i w śniegu błogo marzy...

Idę...
Jeszcze mi w uszach chaosem szumi
Muzyka gór. Jeszcze mi w oczach lśni
Blask uśnieżonych szczytów i turni...
I chociaż serce zapałem tak drży —
Nad wszystko milsze mi leśne sny...

Więc idę...
Na chwilkę jedną, na taką małą,
Utonąć duszą w ciszy bez końca,
I w lasu pieśń zasłuchać się białą,
I zabrać jej wszystkie tony słońca —
Na inną — pieśń życia zszarzałą...

Marja Zemmlerówna.

Na fałszywym torze

(Powieść współczesna) 21.

— Rzeczywiście? Trudno uwierzyć, aby ta zrównoważona, łagodna istota, jakby stworzona dla pielęgnacji psychopatów, miała być nerwowo chora.

— Tak, tak, i to bardzo poważnie. Jej dzieje są zagadkowe. Znaleziono ją na wpół martwą na wydmie piaszczystej na Morzu Adrjatyckiem, w pobliżu Suszaku. Nie było już nadziei wyratowania tego biedactwa — —

— Samobójczyni?

— Niewiadomo. Niestety nie mogła udzielić informacji, bo chociaż ocaliła życie, lecz straciła zupełnie pamięć przeszłości. Prócz tego wskutek upadku odniosła porażenie nerwu w nodze. Tajemnicą pozostanie narazie, co poprzedziło katastrofę. Być może, że rzuciła się do wody z jakiejś skały w zamiarze samobójczym. Mogła też być chora przed katastrofą wskutek jakiegoś moralnego wstrząsu. Znaleziono przy niej paszport austrjacki i pieniądze, więc odstawiono ją do Wiednia na klinikę. Nogę wyleczyłem, lecz nie mogłem jeszcze rozjaśnić jej umysłu. Cios i upadek, jak się zdaje, były bardzo silne!

— I nie zgłosił się nikt z jej krewnych lub znajomych, kto mógłby dać jakiekolwiek informacje?

— Dałem do pism jej fotografję, użyłem pomocy policji — wszystko daremnie. Jej przeszłość jest zagadkową samotna. Zjawiły się dwie młode dziewczęta, lecz dowodzą, że to nie jest Lena Molle.

— Biedactwo!

— Mnie także było jej żal, a że wykazywała podczas leczenia wielkie zainteresowanie psychjatrją i już na klinice oddawała mi drobniejsze przysługi, przyjąłem ją jako sanitarjuszkę dla mojej prywatnej praktyki. Równocześnie leczę ją i mam pod ręką niezwykle ciekawy przedmiot studjów. Jestem już na najlepszej drodze, aby cel osiągnąć.

— Rzeczywiście, panie profesorze — ma pan słuszność. Śmieszne i błahe wydają mi się teraz moje przypadłości!

— Zapewne. Głowa do góry! Zgłosi się pani do mnie za tydzień, lub dwa tygodnie. Ręczę, że wkrótce już będzie pani odrodzonym, nowym człowiekiem!

— Dałby Bóg! — Pacjentka wyszła uspokojona i wzmocniona na duchu.

* * *

Lena Molle skończyła swą pracę. Zdołała przekonać prof. Grause, że jest zbyt późno, aby się nią jeszcze zajął. Musiał ustąpić. Rzeczywiście brakło dzisiaj dla niej czasu. A zresztą — pocóż się spieszyć? Nagół czuła się doskonale. Zdawało się jej, że wyłoniła się z jakiegoś nieznanego świata. Dziwne uczucie... Co było przedtem, absolutnie nie wie. Ciemność i pustka. Nawet to jest dla niej tajemnicą, kim jest właściwie i skąd się wzięła w swem łóżku na szpitalnej sali. Powiedziano jej, że znaleziono ją omdlałą w morzu i że nazywa się Lena Molle. Dobrze — niech i tak będzie. Jest to jej zupełnie obojętne, czy kroczy przez życie z tą, czy z inną etykietą.

Pochowała instrumenty i aparaty i uporządkowała biurko szefa.

— Dobranoc, panie profesorze.

— Dobranoc. Proszę przyjść jutro jak zwykle o dziewiątej. Zapewne będą zgłoszenia od rana. Co za czasy! — rzekł ziewając i przecierając oczy. — Nigdy jeszcze nie było chyba tylu wypaczonych ludzi. Panno Leno, na panią przyjdzie kolej jutro o dwunastej, gdy tylko wrócę z kliniki. Proszę zanotować na jutro najwyżej sześciu pacjentów. No, jeszcze raz życzę dobrej nocy!

Lena udała się do swojego pokoiku na drugiem piętrze. Zażyła lekarstwo, umyła się, przebrała i ułożyła się do snu. Profesor zakazał jej czytać przed spaniem — to prawda. Ale musiała wkroczyć myślami w inny świat po całodziennem grzebaniu w tylu tragedjach. Czy i ona przeżywała przedtem jakieś udręki? Zapewne, skoro za rozdziałem jej życia, poprzedzającym przebudzenie się w szpitalu, zapadły tak silne drzwi, że niepodobna ich wyważyć. Poniekąd wdzięczna była nocy, otulającej jej przeżycia w czerń nieprzebitą.

Książka była wesoła i pogodna. Na ustach Leny zakwitł od czasu do czasu rozbawiony uśmiech. Nie posiada własnego życia — jest dorosłym noworodkiem — a więc radość bohaterki powieści musi stać się jej radością...

Zasnęła, myśląc o tem, że może dzień jutrzejszy przyniesie jej wyważenie drzwi, wiodących w przeszłość. Bała się tego — i pragnęła zarazem.

* * *

Boże, Boże! I znowu pełna poczekalnia! Zamiast sześciu pacjentów za numerami, oczekujących od wczoraj swojej kolejki, siedzi cierpliwie ośmnaście osób. Pozostałych dwanaście, to przeważnie kobiety powyżej czterdziestki. Z niezłomnym uporem czekają na los szczęścia. Może przecież wytworzy się jakaś przerwa w łańcuszku — może dzisiaj jeszcze dostanę się przed oblicze psychjatry, który swą sztuką przywróci sen ich zmęczonym oczom, spokój wzburzonym myślom, siłę i odporność do dalszej walki z falą przeciwności?

Lena krążyła po poczekalni z uprzejmym, zrównoważonym uśmiechem. Każdemu jej poruszeniu towarzyszyły zachwycone spojrzenia zgromadzonych pacjentów. Biała i cicha, zawsze pogodna, umiała nawiązywać kontakt psychiczny z każdą z obecnych osób. Niecierpliwszych uspokajała perswazją, że jeżeli nie dzisiaj, to jutro lub pojutrze będą napewno przyjęci. Zapisywała nazwiska, rodzaj przypadłości, informowała się, czy dany pacjent jest recydywistą, kto go poprzednio leczył. Patrząc na niektóre twarze pozornie spokojne, nie zdradzające żadnych przejść, myślała, że kto potrafi uzyskać tak łatwo panowanie nad sobą u lekarza, ten mógłby i w życiu codziennem użyć tej samej siły woli, bez leczniczej interwencji. Prof. Grause zawsze mówi, że w niektórych wypadkach najlepszym lekarzem jest autosugestja... Gdyby jego pacjenci zechcieli to uznać! Lecz wówczas nie byliby pacjentami...

Znowu dzwonek. Trzynasty! Głos męski. Lena słyszy, jak lokaj perswaduje i tłumaczy, że salon przepełniony i że o przyjęciu na dzisiaj mowy niema. Z urywków odpowiedzi domyślała się, że przybysz nie chce ustąpić. Niechby sobie poszedł! Jest tak strasznie wyczerpana — czuje szum i zamęt w głowie... Profesor męczył ją dzisiaj tak długo eksperymentami. — — Myśli jej rwą się, szukają jedna drugiej, znowu uciekają od siebie. Ostatkiem woli opanowuje się. Ze zdawkowym uśmiechem na ustach wita nowego pacjenta.

Stanął przed nią wyniosły, okazały. Spadł na nią ciężar jego jasnego spojrzenia — zawisnął w przestrzeni jej świadomości... Te oczy — te oczy! Lena czuje nagle w głowie wiercący, przeciągły ból. W mózg wpija się sonda — przewierca — rozdziera. — — Boli, boli! Wszystko wiruje — szybko — coraz szybciej... Leci w przepaść — bez dna. Raz już tak leciała — to było — okropne!

I nagle usłyszała znany, przejmujący okrzyk: — Beata!!

Zwaliła się na nią lawina wspomnień. Przygniotła, wyważyła w jej biednej, umęczonej głowie drzwi w ciemnię przeszłości. Poraziła ją błyskawica świadomości — na jeden oślepiający moment... Kto to? — Och — nie! Niech tak nie patrzy... I znowu ciemno. — Nieprzytomna runęła na ziemię...

— — —

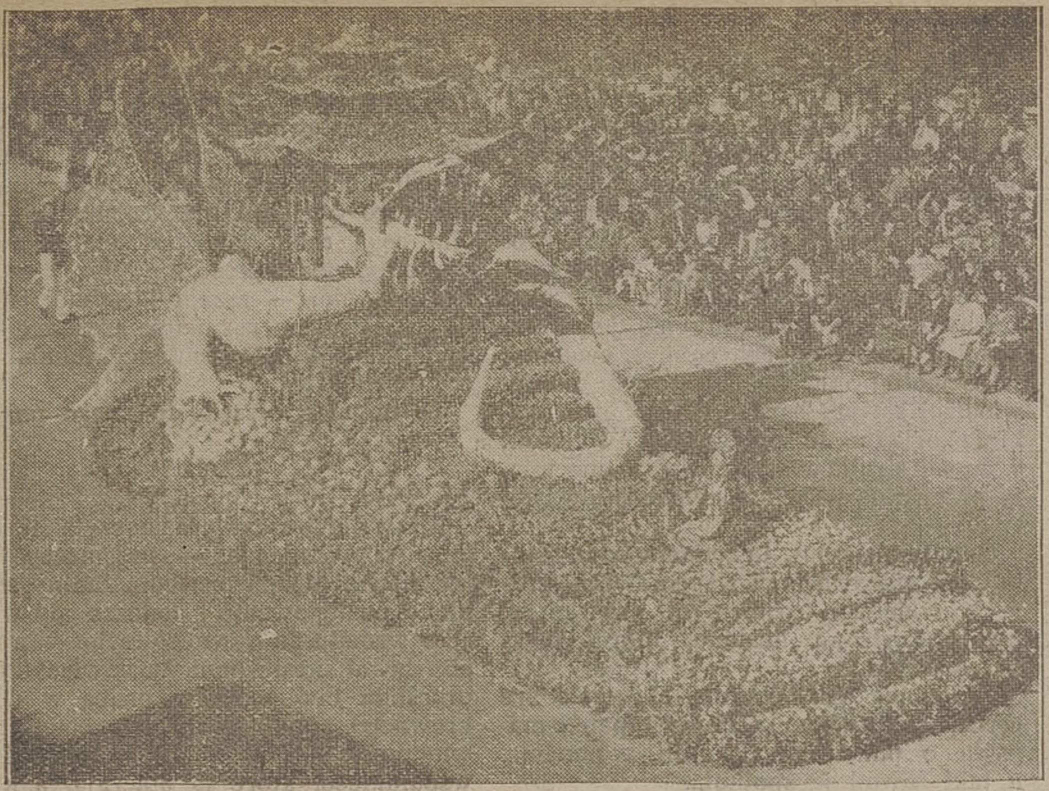
— Beato!

Kto ją woła? To jego głos — najmilszy, najsłodszy! Ani głos matki, usiłującej przekonać się, czy mała Ata już śpi, czy można już zamknąć siatkę w jej dziecinnem łóżeczku, nie odzywał się w jej sercu tak wzruszającem, melodyjnem echem. To on, Ryszard. Tylko, że to przecież sen!

— — — Nie, nie trzeba mnie budzić... Otworzę oczy — i ujrzę ciętą, złą twarz Romana. I rozpłaczę się żałośnie — bo odebrano mi moje szczęście, moje marzenie. Wolę spać jeszcze — aaa — spokoju! Może przemówi do mnie jego najdroższy, pieszczotliwy głos? Bo rzeczywistość jest brzydka. Muszę iść z Romanem do psychjatry. Nie mogę przecież żyć z szaleńcem. Profesor Grause wyleczy go. Ale, skąd wziął się profesor Grause? Prawda, jest moim szefem! Nie, to wszystko takie pogmatwane, zagadkowe... Nie rozwikłam chyba tego... I głowa tak boli. Spać, spać jeszcze! Żeby tylko znowu przemówił Ryszard — —

— Beato!

Otworzyła oczy. I ujrzała nad sobą jego twarz ukochaną. Uśmiechał się do niej temi dobremi, ślicznemi ustami, którym nigdy nie mogła się napatrzeć, któremi nie mogła się nasycić... Wpatrywały się w nią jego jasne oczy, pełne tkliwości i szczęścia. Cudowny sen... Ale czas wstać. Pacjenci za numerami już czekają. Zapewne się niecierpliwią. Profesor będzie zły. O, już jest. Przyszedł ją obudzić! Zaraz — zaraz wstaję — tylko, że taka słaba...



W Kalifornji urządza się wspaniałe obchody kwiatowe p. t. „Złote bajki w kwiatach", podczas których ulicami miasta defilują liczne wozy ubrane wysoce oryginalnie w kwiaty i przedstawiające nieraz bardzo pomysłowe sceny. Na zdjęciu naszem widzimy jeden z tych wozów, który otrzymał pierwszą nagrodę, przypominający prawdziwy ogród egzotyczny.

— Panie profesorze, za chwilę — wstanę — —

— Ależ kto mówi o wstawaniu, drogie dziecko! Musi pani poleżeć, aż do całkowitego wyzdrowienia! Dzięki Bogu, najgorsze minęło. Rekonwalescencja nie potrwa długo!

— A — gdzie jest — on...?

— Jestem przy tobie, kochana! Uspokój się. Nie myśl o niczem. Nie odejdę już od ciebie!

— Boję się...

— Kogo?

— Mojego męża — Romana —

— Niema go tutaj. Jesteś przecież we Wiedniu, a on w Warszawie. Ale teraz śpij już.

— Chodźmy wreszcie, panie inżynierze — wtrącił po niemiecku profesor Grause. — Siostro — zwrócił się do sanitarjuszki — proszę podać pani przepisane przeze mnie lekarstwo. Idę teraz do domu. Gdyby coś zaszło, zatelefonuje mi pani natychmiast.

*

Zaczęły się dni rekonwalescencji Beaty. Zwolna wracała świadomość przeszłości — i to od najmniej znaczących szczegółów. Nagle ni stąd ni zowąd przypomniała sobie Wandę Lebidową — nie, najpierw Mysię, o której nigdy nie myślała, przyszła jej na pamięć pewna scena — było to w wigilję św. Mikołaja. Wanda tłumaczyła Mysi, że niema sensu podkładać słodyczy pod poduszkę takiej dużej pannie. Lepiej kupi jej coś pożytecznego.

— Nie, nie chcę! — łkała Mysia. — Wolę najmniejszą czekoladkę pod poduszkę, aniżeli najpiękniejszy prezent do ręki! Chcę mieć niespodziankę!

Mądra Mysia. Byle niespodzianka nie była taka straszna, jak śmierć Wacława — jak jej upadek ze samolotu — —

Z wypukłą wyrazistością ujrzała nagle swoje dzieciństwo. Męczarnie matki, zazdrosnej o ojca — wtargnięcie w ich życie Józefiny — szkoła — Rudolf — Rakosz — spory z Julkiem — co on robi? Czy matka wie, co się z nią dzieje? Biedna, droga mama! Musi martwić się o nią — —

A Jaśka — czy myśli o niej? Gdyby wiedziała, jak strasznie skończyło się jej małżeństwo! Bo już nie wróci do Romana — za żadne skarby! Wcisnęła głowę w poduszkę jak przerażone dziecko...

Ryszard przychodził codziennie. Przynosił pęki narcyzów, które tak bardzo lubiła. Ale rozmawiał z nią krótko. Profesor Grause nie pozwalał przesiadywać mu długo. Kiedy już będzie nareszcie zdrowa! Przecież czuje się doskonale! Tylko o tym potwornym locie nie może jeszcze myśleć bez wiercenia bólu głowy. Perlisty pot okrywa jej skronie i szyję. Och, musi odpędzić od siebie to koszmarne wspomnienie!

Spadł pierwszy śnieg. Taki biały, niewinny, kojący. Jak słodka pianka na torcie. Gdy była dzieckiem, lubiła wystawiać języczek i łapać płatki.

— Pyszne są! — mówiła zachwycona. Ale mama gniewała się.

— Rozbolą cię ząbki i gardziołko, Atuś — lamentowała bezradnie. Mama zawsze o wszystko lamentowała. Nareszcie wylamentowała tyle, że ojciec wolał wesołą, pełną życia Józefinę. A jednak kochał mamę — kochał do śmierci...

Jaka szkoda, że już jest dorosła i nie może wziąć saneczek — zjechać po śniegu — tak prędko, prędziutko! Tylko, że teraz bałaby się. Wszystko przypominałoby jej straszną chwilę upadku w morze...

Pewnego dnia obudziła się rzeźka i silna. Słońce rzucało figlarne blaski na biały pokój, na stojące na stoliczku narcyze, na srebrzystą czuprynę profesora, na ukochaną twarz Ryszarda. Była zazdrosna o słońce...

— No i jakże czujemy się dzisiaj? — zapytał doktór Grause.

— Doskonale! Wiem, że mi dobrze i że jestem głodna! — zawołała Beata z wesołym tupetem. Jakie dobre, jakie kochane może być życie!

— A więc przedewszystkiem posili się pani, a potem pojedziecie sobie saneczkami na spacer. Dobrze?

— Świetnie! Tylko, że w czem ja pojadę, skoro nie mam futra? — zapytała stroskana.

— Jest futro, Atuś, mój dzieciaku! Jakżeby to było? Uważasz mnie widocznie za strasznego niedołęgę! — śmiał się Ryszard.

— No nie, ale... — Uścisnęła go za rękę. Przecież byłoby niemądrze robić teraz jakieś ceregiele! Jak to ślicznie, że będą mogli zaraz wyjechać razem. — — Panie profesorze — a jak długo to trwało?

— No, co?

— Ten mój — brak pamięci?

— Cztery miesiące. Byłby trwał dłużej, gdyby nie wstrząs, wywołany zjawieniem się przyjaciela pani. Ale proszę już nie myśleć o tem. Było, minęło, nie wróci. Zacznie pani nowe życie. Tylko skąd ja biedny wezmę taką świetną asystentkę! — śmiał się, kiwając głową.

— Egoista! Musi profesor cieszyć się razem ze mną!

— Zapewne, że się cieszę z wyzdrowienia pani. Zresztą jest w tem trochę i mojej zasługi. Ale chodźmy już panie inżynierze. Siostro, proszę pomóc pani ubrać się. Za godzinę przyślę sanki.

Wkrótce była Beata przy pomocy sanitarjuszki gotowa do wyjazdu. Nagle ucałowała ją.

— Chciałabym, żeby wszystkim było tak dobrze, jak mnie obecnie! Siostro, jestem taka szczęśliwa! Tralalalala!

Z chodzeniem było gorzej. Poczuła straszne osłabienie w nogach. Lecz przemogła się całą siłą woli. Ożywiała ją i wzmacniała nadzieja przejażdżki za miasto w tę cudną, brylantową biel dnia zimowego — z jej Ryszardem!

Siedzą obok siebie. Spoglądają sobie w roześmiane oczy, nie wierząc w to wielkie, urzeczywistnione szczęście. Ze wzruszenia nie mogą przemówić słowa. Dopiero za miastem, w uroczej restauracyjce w Grinzing posypały się wyjaśnienia. Beata opowiadała o swoich przejściach w Warszawie, o aferze Jaśki. Powtórzyła słowa Ozonicza, takie bolesne, druzgocące jej szczęście.

(Dokończenie nastąpi.)

Na łasce

(Powieść) 21)

— Kuzynka pozwoli... — przemówił do pani Żarnowieckiej. — Pragnąłbym złożyć podarunki dwom narzeczonym...

Pani Żarnowiecka milczała, wszyscy stół otoczyli patrząc ciekawie; tymczasem pan Bronimirski wyjął z kieszeni pęk kluczyków i otworzył szkatułkę. Ukazały się skarby rozmaitej wielkości. Pan Bronimirski wziął jeden z nich i nie otwierając, wręczył Janinie, która zmięszana, zarumieniona, nie wzięła go w rękę... Roman ją wyręczył; otworzył pudełko i podał jej z uśmiechem... przepyszna brylantowa brosza zabłysnęła, złożona na ciemnym aksamicie.

— To dla mojej synowej; należała do mojej matki a potem do żony... pamiątka rodzinna, którą składam w twoje ręce... dziecko!...

Wszyscy milczeli. Pan Bronimirski wziął drugie pudełko i podał je Kamilli.

— Dla ciebie także pamiątka rodzinna po stronie ojca, z którym blisko byliśmy spokrewnieni... — rzekł. — Należała do wspólnej naszej babki.

Kamilla otworzyła pudełko i z radosnym okrzykiem wyjęła piękną starożytnej roboty bransoletę ozdobioną wielkim szafirem, otoczonym brylantami... Natychmiast zapięła ją na ręku i z wdzięcznością pochyliła się ucałować dłoń starca.

— Jakże ja dziękuję wujowi!... — rzekła. — A ty nie dziękujesz? — zwróciła się nagle do Janiny, mocno zdziwiona.

Usta Janiny drżały nerwowo, była bliską płaczu... Niespokojnym wzrokiem spojrzała na Romana, na klejnoty leżące przed nią, których nawet nie dotknęła i pochyliła się do pana Bronimirskiego.

— Niech mi pan pozwoli, żebym nie brała teraz... tej pamiątki... — szepnęła błagalnie, z wielką nieśmiałością. — Niech ona spoczywa tutaj... do czasu...

Pochyliła się jeszcze niżej i usta przycisnęła do ręki starego.

— Pozwoli pan?... — szepnęła.

Pan Bronimirski spuścił głowę na piersi; po chwili podniósł ją i położył dłoń na głowie dziewczęcia... nie mówiąc nic, zamknął pudełko i wrzucił do szkatułki.

Roman uprowadził Janinę w oddalony od stołu kąt pokoju, gdzie usiedli oboje, zagłębiając się w cichą rozmowę.

Sceny tej nikt nie zauważył, bo Kamilla zajęła wszystkich swoją bransoletą.

— Niech mama patrzy, jaka prześliczna! — mówiła do matki. — Nic piękniejszego nie widziałam w życiu!

Pani Żarnowiecka z humorem odsunęła od siebie wyciągniętą rękę córki.

— Il faut etre sotte!... — syknęła — Jeden brylant z broszy Janiny wart więcej niż dziesięć takich szafirów... a ona się cieszy!

Ostatnie słowa o córce skierowane były do Natalji, która właśnie oglądała bransoletę.

— Ależ ona tych brylantów nie wzięła! — zawołała Kamilka, która jedna tylko widziała jak pan Bronimirski zamykał pudełko.

— Nie wzięła? Komedja! po co ma brać, kiedy wszystko do niej będzie należeć!

— Czy jest jeszcze więcej klejnotów? — spytała Natalja udając ciekawą.

— A! jest więcej? doprawdy? — zawołała Kamilla. — Wujciu! czy wujcio nam pozwoli zobaczyć resztę? — dodała żywo, z wielką ciekawością.

Naturalnie, że pan Bronimirski pozwolił i rozpoczął się przegląd kosztowności. Przed oczami Kamilli, Natalji i pani Żarnowieckiej ukazywały się jedne po drugich ozdoby, perły, rubiny, brylanty, w rozmaitej oprawie. Nikt nigdy nie dowiedział się jak bardzo ciężko było hrabinie oglądać te przedmioty, w które, w myśli stroiła własną córkę, a one miały przejść na własność nienawistnej istoty...

Ona tymczasem, ta „nienawistna istota", nie ciekawa tych wspaniałości, gwarzyła z cicha z ukochanym, prosząc go, by oszczędzano hrabinę, której męki przeczuwała...

— Próżna jest i dumna, ale ma dobre serce, — mówiła. — Pomyśl pan... marzyła o połączeniu Kamilli z panem... a taki zawód ją spotkał...

— Sama sobie wymyśliła ten projekt i ojcu memu poddała, — odrzekł Roman. — Dla ciebie serca nie miała... nic nie szkodzi, że teraz trochę ma przykrości... byle się to na tobie nie odbiło — najdroższa!

— Odbije się... — rzekła łagodnie — i całkiem słusznie... Musi pan przyznać, że z mojej winy, hrabina dziś wiele ucierpiała...

— To już chyba nie z twojej!... — zaprzeczył Roman. — W każdym razie, dreszcz mnie przechodzi, gdy myślę, że musisz wracać do Żarnek...

— Inaczej przecież być nie może... — odparła, rumieniąc się.

— Prawda niestety... ale na krótko! tak, jak można najkrócej... po co mamy zwlekać?

Pochylił się nad nią i korzystając, że obecni zajęci byli oglądaniem klejnotów, rączkę jej pieścił namiętnemi pocałunkami.

Nie broniła się, nie umiała się bronić. Uczucie szczęścia, którego nie znała dotychczas, przepełniało ją do głębi; oddała się chwili obecnej, rozkosznej — zapominając na razie o smutkach swoich, o wyjątkowem położeniu, dała się unieść uczuciu i pozwalała Romanowi pieścić swoje ręce, patrzeć w swoje oczy, których nie odwracała i szeptać słowa miłości.

Jaki on był piękny w tej chwili! jak łagodny uśmiech usta mu opromieniał, podnosił blask oczu... Janina patrzyła i wierzyła, że on szczęśliwym się czuje... a czegóż więcej jej było potrzeba?

— Całem mojem życiem odpłacę ci za twoje uczucie... — myślała w głębi duszy, — całe poświęcę dla twego szczęścia...

Wieczorem dnia tego, gdy panie szły na górę do swoich pokoi, w chwili gdy się rozłączać miały, Janina zbliżyła się drżąca do pani Żarnowieckiej i rękę jej do ust swoich podniosła z uszanowaniem.

Hrabina żachnęła się gniewnie.

— A to po co?... — rzekła sucho, gniewnym tonem. — Nie mamy z sobą nic wspólnego!... potrafiłaś obejść się bezemnie...

Janina złożyła ręce i błagalnie spojrzała na swoją opiekunkę.

— Jam taka szczęśliwa!... — szepnęła.

W tych słowach tkwiła wymowna prośba, żeby jej tego szczęścia nie mącić. Hrabina posiadała nadto subtelny umysł, aby tego odcieniu nie zrozumieć. Zrobiła ręką ruch, jakby zrzucając z siebie odpowiedzialność.

— No, no, — rzekła łagodniej nieco. — Różni ludzie rozmaicie szczęście pojmują... — dodała sentencjonalnie, aby coś powiedzieć.

To mówiąc, weszła do swego pokoju.

XV.

Kilka dni jeszcze przemęczyła się hrabina w Wasilcach — przemęczyła — bo chociaż, dzięki prośbom Janiny, zmienione postępowanie i podczas gdy wszystko wróciło do dawnego trybu — a nikt nie dawał uczuć pani Żarnowieckiej, że przestała być pierwszą osobą w domu krewnego, ona gryzła się ciągle wewnętrznie i sam widok zamożności i wspaniałości które ją otaczają, a która dzięki Janinie z rąk jej się wymknęła, do rozpaczy ją doprowadzał.

Natalja, w pierwszym dniu zamknięta w sobie, a raczej w swojem rozczarowaniu — przybrała znowu rolę powiernicy hrabiny, chętnie wyszukując sposobność szkodzenia Janinie.

— Pani sądzi, że ona naprawdę taka bardzo zakochana? — mówiła raz gdy były same, z drwiącym uśmiechem. — Zobaczylibyśmy, gdyby pan Roman nie miał majątku...

— Być może! chociaż nie mogę powiedzieć, żebym ją kiedy mogła posądzić o interesowność...

— Trzeba ją było widzieć pierwszego dnia po naszym tutaj przyjeździe! — zawołała Natalja porywczo. — Obudziłam się rano, bo nie mogę zwykle sypiać po podróży — ale ona wstała jeszcze wcześniej... Otworzywszy okno w moim pokoju, widziałam ją, zupełnie ubraną — uczesaną starannie, biegającą po ogrodzie i rozglądającą się ciekawie... Nie tracąc czasu, robiła przegląd przyszłych posiadłości...

— Co?... — rzekła hrabina niedowierzająco, — non, vous m'étonnez!

— Tak! wszystko było naprzód ukartowane, jeszcze przed naszym wyjazdem z Żarnek... dziwię się, że pani nic nie zauważyła!

— Owszem, uważałam, ale mi się zdawało, że ze strony Romana, il s'agissait d'une simple amourette...

Pani Żarnowiecka mówiła tonem żalu... ta kobieta, żona, matka, szanowana powszechnie, byłaby pozwoliła, żeby jej kuzyn zawiązał w jej domu romansik z ubogą towarzyszką jej córki?... nie miałaby nic przeciw temu?... Tak! ale dodajmy na usprawiedliwienie hrabiny, że mówił przez nią tylko żal, z powodu zawiedzionych nadziei...

— Gdyby o to chodziło, — dodała natychmiast, — byłabym radę znalazła... miałam sposób gotowy: odesłać Janinę bratu. Ale nigdy nie myślałam, que cela deviendra serieux...

Natalja, uśmiechając się ironicznie, przytaczała hrabinie rozmaite wypadki, fakta, na poparcie dowodu, że „intryga" — jak mówiła — pomiędzy Janiną a Romanem dawno już była zawiązana.

— Nie ręczę, — dodała w zapale, — czy panna Janina nie wpłynęła na Kamilkę, żeby jej zbrzydzić Romana, o którym wiedziała dobrze, że jest prawie jej narzeczonym...

Tym argumentem, rzuconym na wiatr, zupełnie przypadkowo, najwięcej trafiła do przekonania pani Żarnowieckiej, zakorzeniając w jej sercu jeszcze jedną urazę do biednej, niewinnej sieroty...

Zemsta Natalji się rozpoczynała...

Dzień odjazdu do Żarnek został wyznaczony; państwo Waliccy zapowiedzieli swoje przybycie, więc trzeba było pośpieszać.

Ostatniego dnia pobytu w Wasilcach, pani Żarnowiecka musiała poddać się jeszcze jednej nieprzyjemności. W poufnej i bardzo serdecznej ze strony starego pana Bronimirskiego rozmowie, nalegał ten ostatni na konieczne oznaczenie dnia ślubu Janiny z Romanem...

Przyprowadzona do ostateczności, pani Żarnowiecka się zgodziła, żeby dwa śluby, — Kamilli i Janiny odbyły się razem... co do terminu, miała się umówić z rodzicami pana Stanisława.

— Vous tenez dans absolument à ce mariage? — spytała wkońcu, nie mogąc opanować niezadowolenia.

Stary popatrzył na nią ze zdziwieniem.

— Nie rozumiem kuzynki... — rzekł. — Jakżeby mogło być inaczej? co za powód do zmiany zdania?

— Ależ bo, wogóle... wogóle... cała rzecz taka dziwna! — mięszała się. — Nie narzucam kuzynowi mego zdania, nie myślę wpływać na to co jest już une chose arretée... Ale czyż to żona dla Romana? dla Romana... który mógłby otrzymać rękę najpiękniejszej jakiej héritiere'y... Co świat na to powie?

Pan Bronimirski kiwał głową z uśmiechem.

— Bywały w naszym rodzie piękne, bogate, ze znakomitych rodzin żony, — rzekł zwolna. — ale czy zawsze było szczęście?... Ja pragnę, żeby mój syn był szczęśliwym... Ród nasz nie będzie splamiony, jeżeli ostatni z Bronimirskich pojmie za żonę ubogą szlachciankę, która szczęście wniesie w dom jego... a co świat powie? to mi już oddawna obojętne. Bo uważasz, kochana kuzynko... nic niema głupszego jak świat i jego gadanina... Czy komu kiedy podoba się to, co kto zrobi lub jak postąpi? czy kiedy uczynki ludzkie obejdą się bez komentarzy? Ludzie próżnujący, nie mają po największej części o czem mówić i dlatego zajmują się sprawami drugich.

— Rzeczywiście... — przyznała hrabina, nie mogąc zaprzeczyć uwagom kuzyna. — Mais enfin, bywają jak zwykle wyjątki z reguły ogólnej... Człowiek, który się żeni, powinien myśleć o tem co jest winien społeczeństwu... pomyśleć o dzieciach, które mieć może i które będą później tworzyć to społeczeństwo — powinien pamiętać, że te dzieci... muszą zachować ten sam typ, zwyczaje... nie wyradzać się...



Ostatnio odbyło się uroczyste posiedzenie parlamentu szwedzkiego, który obchodzi w bież. roku 560-lecie swego istnienia. Król Gustaw szwedzki zjawił się w sali parlamentu w otoczeniu całego rządu szwedzkiego, korpusu dyplomatycznego wraz ze swym wnukiem księciem Gustawem Adolfem (na prawo), najstarszym synem następcy tronu.

— Czy sądzisz, kuzynko, że dzieci Romana wyrodzą się, jeżeli matką ich będzie Janina Strzelicka, zamiast jakiej hrabianki lub księżniczki? — spytał z niejaką ironją pan Bronimirski.

Pan Bronimirski miał dziwnie nieprzyjemny sposób detonowania pani Żarnowieckiej... Nie! oni chyba nigdy się nie zrozumieją!

Westchnęła biedna...

— Mój kuzynie... — rzekła, — twoje pojęcia są tak bardzo różne od moich... co mnie mocno dziwi — że chyba nie mamy o czem dysputować!

— Moje pojęcia są postępowe, a kuzynki zacofane, — odrzekł z uśmiechem. — Zresztą, sans rancune... prawda?

Wyciągnął rękę i kiedy pani Żarnowiecka podała mu swoją z niejakim przymusem, z galanterją podniósł ją do ust.

— Tak, tak, droga kuzynko, wyprawiemy wesele naszym pannom, a nawet ja stary kaleka do Żarnek przybędę na te uroczystości!

— Miło mi będzie widzieć kuzyna u siebie, — rzekła pani Żarnowiecka z westchnieniem, — ale przyznam się, wolałabym nie w takich okolicznościach... Nie wiem czemu — ale małżeństwo Kamilki mnie straszy... obawiam się o materjalną stronę!

Pan Bronimirski uspokajał obawy kuzynki, ujęty troską matki o los dziecka.

— Kochają się, to najważniejsze — mówił. — Patrz, kuzynko, czy to nie jest przyjemny i pocieszający widok?

Wskazał ręką na szeroko otwarte okno w pokoju, poza którem, na dworze, przechadzali się narzeczeni. Ona oparła rękę na jego ramieniu i tuliła się do niego z ufnością, patrząc mu w oczy, uśmiechając się. Stanisław ujął drugą jej, wolną rączkę i co chwila pieścił pocałunkami; rozmawiali z ożywieniem, całkowicie w sobie zatopieni.

* * *

Roman odprowadził panie do Żarnek, nie krępowany przez ojca, który uznawał za rzecz zupełnie naturalną, że syn pragnie jak najdłużej być z ukochaną i dał mu urlop na czas nieograniczony.

Roman otrzymał właśnie wiadomość od Władysława, który był wraz z ciotką wyjechał do Lwowa, że w tych dniach wracają do Żarnek. Panna Olimpja zamierzała się pakować i stanowczo porzucić swoją szkołę; załatwiła pomyślnie interesa w mieście, a teraz tylko chodziło o ostateczne przeprowadzenie, w czem jeszcze Władysław musiał jej przyjść z pomocą. Potem już całkowicie odda się na usługi księcia.

W liście swoim, rządząc się wygórowaną delikatnością, Władysław nie czynił żadnej wzmianki o Janinie, ani o zamiarach względem niej Romana... Wypadało więc Romanowi postąpić z równą delikatnością i ustnie, samemu, zawiadomić Władysława o ostatnich wypadkach.

Państwo Waliccy zjechali do Żarnek; zostali przyjęci nader uprzejmie, ale zabawili nie długo... Niestety! pomimo serdeczności okazywanej przez obie strony, panią Żarnowiecką i państwa Walickich spotkał niemiły zawód co do spraw pieniężnych.

Z jednej i z drugiej strony spodziewano się więcej... posag Kamilli był wprawdzie czysty, ale nie wielki, majątek państwa Walickich mocno nadszarpany... Ostatecznie, żyć, żyć, nawet dostatnio będzie można — ale koniecznie z rachunkiem i oszczędnością, a to nie do-

gadzało ani pani Żarnowieckiej, która marzyła o miljonach dla córki, ani państwu Walickim, nie znającym się ani na rachowaniu ani na oszczędności.

Kwaśne więc panowały humory, przymus wkradł się w przyszły stosunek rodzinny; ale o zerwaniu mowy być nie nie mogło, bo młodzi ze wszystkiego byli zadowoleni i śmiali się z obaw starszych.

Można sobie łatwo wyobrazić, w jakim stanie była hrabina! nie! rzeczywiście, od jakiegoś czasu nadto już ciosów walilo się na jej głowę... Małżeństwo Romana, utrata Wasileć i ta głupia Kamilla zadowolona, że z głodu będzie marła ze swoim ukochanym Stasiem!

Ostatnich dni pobytu państwa Walickich, gdy ją męczono szczegółowym ułożeniem programu przyszłego życia państwa młodych, stawiając egoistyczne warunki, hrabina myślała nieraz, że żółć ją zaleje lub apopleksja zabije... Państwo Waliccy, dość jeszcze młodzi stosunkowo do syna, oddawali Stanisławowi majątek ziemski — mocno odłużony jak wiadomo — wymagając utrzymania dla siebie.

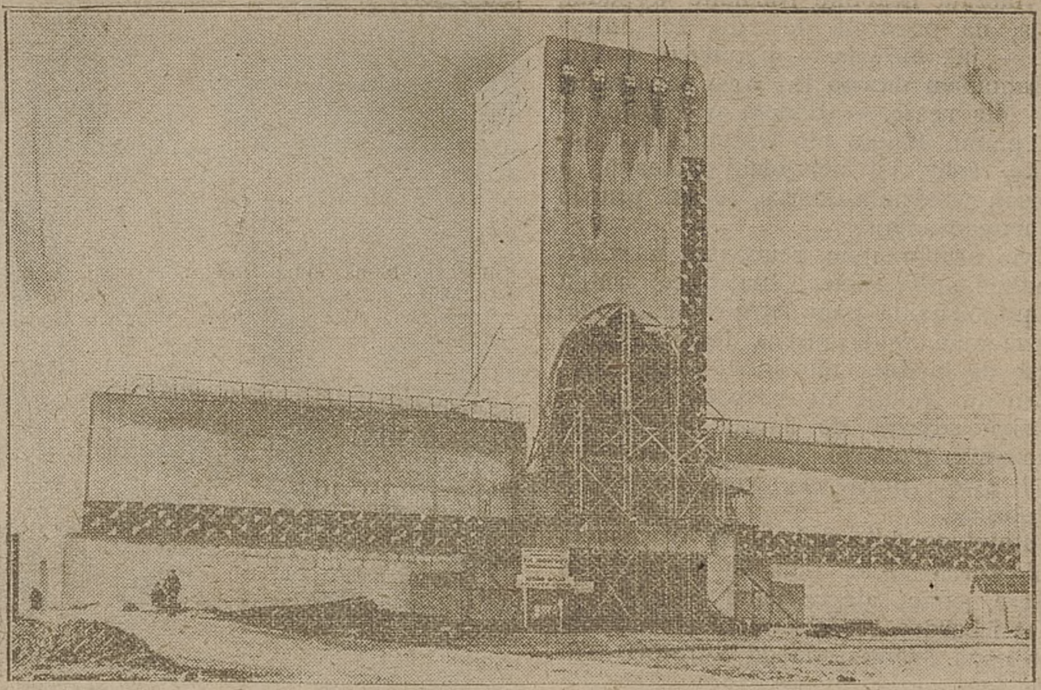
Posag Kamilli musiał być użyty w części na spłacenie długow, i zahipotekowany na majątku męża. Wprawdzie pani Żarnowieckiej zostawały Żarnki, majątek, dość znaczny, który naturalnie po jej śmierci miał przejść na własność córki, jednak układ podobny nie zadawalniał hrabiny, która ze wstrętem mycórki, jednak układ podobny nie zadawalniał hrabiny, która ze wstrętem myślała, że pieniądze Kamilli muszą płacić długi rodziny męża.

Za te wszystkie niepowodzenia, kłopoty i nieprzyjemności, odpowiadała naturalnie Janina. Podczas gdy hrabina kłopocze się o przyszłość córki, ona, dziewczyna na łasce, przychodzi do miljonowego majątku, ona, nie posiadająca nic, nawet wyprawy! nie jestże to oburzające?

Dopóki Roman był w Żarnkach, obchodzono się jednak z Janiną oględnie, nie dając jej tak dotkliwie uczuć krzywdy, jaką wyrządziła pani Żarnowieckiej.

Ale Roman odjechać musiał. Ślub został oznaczony na kwiecień w roku przyszłym; państwo Waliccy tak ułożyli, a wiadomo, że dwa śluby odbyć się miały razem.

Najprzykrzejsza chwila dla Romana z Władysławem — nadspodziewanie dobrze poszła. Władysław sam, z dobrocią i prostotą, rozpoczął, składając życzenia Romanowi. Nie było w nim widać ani cienia żalu, niechęci, ani zazdrości. Młody człowiek przewalczył namiętne uczucia, kierując myśl i siłę woli do innych szlachetniejszych celów i dążeń, wykolejony rozbitek widział przyszłość przed sobą, chorobliwy nastrój pierzchnął, a wraz z nim pesymistyczne usposobienie i niezdrowe marzenia. Ważliwa natura jego w połączeniu z miękkim charakterem, potrzebowała podniety, a nie posiadając wrodzonej inicjatywy, poddawała się łatwo wpływom obcym; to też wpływ rozumnego i względnego księcia obudził w szlachetne instynkta, wyprowadzając z apatji, z której sam dźwignąć się nie miał siły. Zawsze tak bywa, że jednych nieszczęścia hartują, drugich w apatję pogrążają; Władysław do tych ostat-



W Brukseli odbędzie się od 27 kwietnia do 31 października b.r. wystawa światowa, która pod względem bogactwa i różnorodności pawilonów będzie mogła się równać z najwspanialszemi imprezami tego rodzaju. Zwłaszcza pawilon, poświęcony kolonjom belgijskim w Kongo, zapowiada się, jak widzimy na zdjęciu, bardzo wspaniale.

nich należał i byłby może zmarniał całkowicie, gdyby nie szczęśliwy traf poznania Romana, a przez niego księcia Brunona.

Uspokojony co do przyszłości młodzieńca, którego szczerze polubił, Roman odjechał do Wasilec, aby korzystać z ostatnich chwil pobytu Brunona.

Janina usiłowała być spokojną przy pożegnaniu z narzeczonym, ale w duszy czuła smutek okrutny... Teraz, gdy miała zostać sama, bez jego opieki, straszno jej czegoś było. Wyrzucała sobie w głębi duszy, że nadto przywiązała się do niego, tracąc niejako zwykłe swoje usposobienie do samodzielności; a tak jej dobrze było, tak błogo, czując, że ma przy sobie duszę, która jej jest całkowicie oddaną! Jak ona teraz zostanie bez niego i co ją czeka?... Och! była przygotowaną, że hrabina słodką dla niej nie będzie, ale postanowiła znieść wszystko w milczeniu, z godnością i cierpliwością.

Wogóle dla cichej i skromnej Janiny zaczęło się nieprzyjemne życie. Po powrocie hrabiny sąsiedzi odwiedzać Żarnki zaczęli, jak zwykle, i gruchnęła po okolicy wiadomość o podwójnych zaręczynach w domu pani Żarnowieckiej. O ile małżeństwo Kamilli przyjęte zostało jako rzecz zwykła, powszednia, bez zadziwienia, o tyle świetny los jaki gotował się dla biednej sieroty podniósł jeden, długi i przeciągły okrzyk zdumienia na kilka mil w około.

— Ludzie!... ludzie!... — myślała sobie Janina z goryczą, — jacyż oni dziwni!...

Tak, dziwni w istocie! Ci, którzy jej nie zauważyli dotąd, starali się o jej względy, zapraszali do siebie, ośmielali, prawili komplimenta... Na niejednej twarzy czytała zazdrość, na niejednych ustach, w słowach i uśmiechu przeczuwała fałsz i kłamstwo... Byli tacy, którzy nie kryli się z szyderstwem; do tych należała całkiem otwarcie pani Adela, ale bez udziału brata. Ten ostatni, gdy się dowiedział, że Janina po słowie z Romanem, zbladł, zadrżał i zamilkł. Potem, jak ochłonął nieco, pojechał do Żarnek.

Chciał się zdobyć na odwagę, biedak, pragnął zajrzeć niebezpieczeństwu w oczy i mężnie stawić czoło; ale gdy ujrzał Janinę, gdy ona na powitanie wyciągnęła do niego rękę z pełnym dobroci uśmiechem, znowu drżał cały, krew mu uciekła z twarzy do serca, łzy do oczu napłynęły, a nie mógł wymówić ani słowa; podaną sobie rękę przycisnął do ust oślizłych i milczał targany wewnętrznem łkaniem... Nie chcąc narażać na żarty obecnych jego i siebie, a przedewszystkiem pragnąc uniknąć uporczywego wzroku pani Natalji patrzącej arogancko przez lornetkę, usunęła rękę co prędzej i odeszła.

Ale Juljusz znalazł sposobność zbliżyć się do niej...

— A to pani nie chciała żenić się ze mną dlatego, że niby to ja bogaty, a pan Roman jeszcze bogatszy ode mnie! — rzekł z rodzajem gniewu, jak obrażone dziecko.

Janina spojrzała na niego przeciągle.

— Panie Juljuszu, — rzekła poważnie, — panu to powiedzieli, prawda! to nie pana zdanie!

Juljusz wytrzeszczył błędne swoje oczy.

— Pani to wszystko wie! — zawołał. — Tak, Adela mówiła, że pani wolała bogatszego...

— I pan temu wierzy? Pan mówi, że... że mnie kocha... myślałam, że pan mnie bronić będzie! a pan wierzy, że ja bogatszego chciałam?

Mówiła z żalem, bo przykro jej było, że i na nim się zawiodła.

(Ciąg dalszy w nast. numerze.)

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofji

KOMUNIKAT I ADRESY

Po raz drugi apeluję do Sympatyków „Krainy" o cierpliwość. Powtarzam, że odpowiedź otrzyma każdy, bez wyjątku, a zbyt długie milczenie usprawiedliwiam nawałem korespondencyj i szczupłemi stosunkowo ramami „Krainy". Komunikując o powyższem, proszę powtórnie w celu przesłania listów o adresy właścicieli następujących pseudonimów: „Klg" — „Wesoła Andziulka" — „Ola z wesołej dwójki" — „Czesława" — „Ślązaczek" — „Syrena" — „Wesoły Ptaszek" — „Orlątko" — „Szachraj z Pomorza" — „Brzydki" — „Maleńka Dżeni" — „Kawaler" — „Myszka z Kujaw" — „Szczera Ślązaczka" — „Miła Szatyneczka" — „Bezimienna" — „Chłopiec z pod Mogilna" — „Stokrotka" — „Murzynka" — „Haritas" — „Górnoślązaczka" — „Blondyneczka II" — „Poważny II" — „Roztrzepana Lola" — „Dzikuska III" — „Mała" — „Drań" — „Muzyk" — „Pędziwiatr" — „Bydgoszczanka" — „Zawiedziony" — „Muzykalna Szatynka" — „Stęskniony Ślązak" — „Marlena" — „Wierna Jaskółeczka" — „Rajskie Jabłuszko" oraz dokładny adres „Żywego Srebra" i „Czytelniczki z pod Częstochowy."

UWAGA!

W tych dniach nadeszły do redakcji listy pod szyfrem „Osada państwowa." Komu je przesłać?

JAK OGNIK BŁĘDNY...

Jak ognik błędny myśl moja wciąż wzlata
I płonie jasno — oświetlając ziemię —
By spaść za chwilę w zwątpień mroczne tonie,
Jakby za ciężkie było pracy brzemię...

Jak ognik błędny myśl moja wciąż wzlata,
Zrywa się z toni i znów jasno płonie,
Gdzieś za krańcami gubiąc się wszechświata,
Który to wszystko, co ziemskie jest, chłonie.

Jak ognik błędny myśl moja wciąż wzlata,
Płochliwa, blada i tak dziwnie drżąca,
Jak dziewczę z ludu, co boi się świata,
Niezdolne pojąć tajemnic tysiąca.

Jak ognik błędny myśl moja wciąż wzlata,
Wykołysana marzeń długich snami —
Gubi się, błąka hen, po krańcach świata
Pełna tęsknoty i nabrzmiała łzami...

Danuta Wyrybkowska.

ZA WSZYSTKO DZIĘKUJĘ

„Arlik." Za słowa uznania bardzo Panu dziękuję. Tak samo za życzenia świąteczne. List do „Czesławy" prześlę, gdy otrzymam adres.

ODCINKI NIE SĄ KRÓTSZE

„Wiedeński Walczyk." Powieść „Tajemnica Wenecji" jest na ukończeniu. Odcinki nie są krótsze od poprzednich, tylko drukowane drobnem pismem, wydają się mniejsze. Kończąc, pozdrawiam w Pani imieniu „Filipa z Konopi."

FOTOGRAFJĘ OTRZYMAŁAM

„Smutna Mirjam." Pocztówkę ze skargą na moją obojętność otrzymałam. Zapewnie „Smutna Córeczka" w numerze świątecznym przeczytała już odpowiedź na swój liścik i nie ma do mnie żalu. Fotografję otrzymałam. Schowałam do zbioru innych. Będzie stanowiła dla mnie miłą pamiątkę. Dziękuję serdecznie i za zdjęcie i za szczere życzenia świąteczne.

DZIĘKUJĘ ZA MIŁE SŁOWA!

„Stały Czytelnik z okolicy Gniezna." List do „Pieszczotki" wysłałam. Dziękuję za miłe słowa!

INTERESUJĄCA KORESPONDENCJA

„Sanlita." Kochana „Córeczko", prośbę załatwiłam. Liścik Twój bardzo krótki, ale na drugi raz będzie niewątpliwie dłuższy.

A teraz, kto się nudzi, cierpi na brak kulturalnych rozrywek lub pędzi samotne życie niech skreśli parę słów do „Sanlity", a zaskarbi sobie interesującą korespondencję.

RZADKO OTRZYMUJĘ TAK PIĘKNE I POGODNE!

„Ikar II." List Pana bez wszelkich komentarzy oddaję do druku. Podobnych listów oby jak najwięcej było. Rzadko otrzymuję tak piękne i pogodne!

„Dobra Pani Zosieńko! Od samego początku, gdy 1 numer „M. P." ujrzał „światło dzienne" jestem czytelnikiem tej gazetki. Jest ona dla mnie ulubioną lekturą; zawsze z niecierpliwością oczekuję soboty... Cieszę się każdemu nowemu numerowi. (Może i dlatego, że przynosi wspomnienia „z tamtych stron" — przypomina dawne dobre czasy w... żnińskiem...).

Początkowo na „Krainę" patrzyłem z uśmiechem. Gdy któryś z kolegów („dojrzały człowiek" — trochę cynik) nazwał to dziecinadą, — ja podobne o tym dziale miałem wyobrażenie. Zaznaczam: miałem! To jednak dlatego, że człowieka życie tak brutalnie budzi ze snów o... życiu!... Ta szara rzeczywistość inną jest niż były marzenia. Tak jak szlachetne kwiatki zewrze ostry podmuch mroźnego wichru, tak nieraz pod wpływem różnych przejść, tragedji — niewiadomych nikomu, zdaje się nie widocznych obcym, giną bezpowrotnie, zdawałoby się, nasze młodzieńcze, idealne, wzniosłe marzenia. Żyjąc w środowiskach mętów, obłudy, fałszu pokrytego pozorami, frazesami, jak trudno obronić to, cośmy stworzyli w własnej wyobraźni... Jak trudno utrzymać te dwie siostrzyce: Dobro i Piękno! Ile zaparcia się samego siebie, walki z złymi ludźmi i... z samym sobą, by nie stracić tego skarbu! Chciałoby się wszystkich i wszystko przygarnąć do piersi i ukochać. Podnosić i uszlachetniać... Gdy jednak bliżej dojdziemy rzeczywistości, wtedy zabraknie nam odwagi spojrzeć „prawdzie" w oczy. A gdzież „apostołować..." I w obawie przed zupełną utratą wiary, a raczej złudzeń, chowamy się w niedostępną samotność i trwamy w złudzeniu. Bo „tyle życia co jest w pieśni, tyle szczęścia, co człek prześni" (?) staje się naszym aforyzmem. Ale i wtedy, jak łatwo o „fałszywy tor". Bo czyż zamknięcie, wobec braku wiary, w jakimś ciasnym egoistycznem odosobnieniu nie jest „fałszywym torem?" Zdziwisz się Kochana Pani, że tak pisze mężczyzna „zrównoważony" (ja myślę, że takim jestem!). A ja Panią podziwiam!!... „Ludzie są dobrzy i świat jest piękny"! Tak tylko Ty Zosieńko potrafisz powiedzieć! I właśnie na tle tych refleksji można zrozumieć podjętą przez Ciebie pracę, choć ocenić trudno: jest bezcenną! Ja nie umiem nadać memu uczuciu dla Pani kształtu liter, ubrać w słowa podzięki, jednak możesz Pani być pewną, że ja Ją rozumiem! Nie mogę się porównywać z „Kaliną" ale i ja twierdzę, że Panią rozumiem!! Dlatego wołam: Pani Zofji „Cześć!" Tak! tylko dzięki Tobie Pani stałem się znów innym. Pozbyłem się uprzedzeń do „świata." Patrzę nań innemi oczyma i kocham więcej niż dawniej. „Kraina" przekonała mnie, że jest jednak dużo „ludzi" na tym „pięknym świecie"! Dziś wiem, że zbyt szybko zwątpiłem...

Proszę jednak nie sądzić, że jestem bankrutem życiowym. Nie! Mimo tych wszystkich zawodów i rozczarowań, rozpaczliwych walk i ogromnych wysiłków życie mnie nie złamało. Zahartowałem się w czasach, gdy ciężko pracując — (fizycznie!) rownocześnie kształciłem się. Nie udało mi się uzyskać matury, lecz i tak dobrze. Dziś trudno o więcej — ale nie przyrzekam i... pracuję dalej! Przepraszam jednak, za tą beztreściwą bazgraninę, którą zanudzam Panią. Otrzymam sądzę przebaczenie od Drogiej „Mateczki"? Temwięcej, że przyrzekam więcej tak się nie rozpisywać. No i przepraszam za ten niepochlebny wstęp. Sądzę jednak, że w „Krainie" trzeba być szczerym. Zresztą zawsze nim jestem. Myślę, że zechce mnie Pani przyjąć do grona Swych przyjaciół? A może...

Wkońcu „coś" o sobie. Rysopis: wzrost 1700 mm, włosy blond, oczy niebieskie, noc prosty, twarz podłużna. — Zawód „skoczybruzda" (w naszem języku — urzęd. gosp.). Zaznaczam, że dosłownie „oderżnąłem" z wykazu osobistego. Oczywiście personalji nie poto podałem, by jaki „Tajny Detektyw" przywłaszczył sobie niepopełnione.... Stop! Jest to jednak warunkiem przyjęcia do „Rodzinki". A może... zainteresuje jaką Nieznaną Detektywkę?...

Przesyłam miłe pozdrowienia i moc serdeczności Drogiej Pani i Wujkowi Januszowi oddany

„Ikar."

P. S. Proszę o umieszczenie poniższego ogłoszenia: Hallo! hallo! Czy w „Rodzinie" jest który z kolegów, pamiętający naszą „budę" w Bydgoszczy, „Rekina", „Hafcia", któremu podczas wykładu historji wpadł groch między oko a szkło binokli? Czy pamięta „Cybucha", który tak szczerze „rypał" „piątki" z botaniki? Czy jest kto z „Pomiarowców" toruńskich?"

APELUJĘ!

„Iruś." „Siostrzyczek i „Braci" w „Krainie" posiada Pani tyle, że ja nawet sama straciłam orjentację liczb. Z wszystkich smutków i przykrości postaram się stopniowo wyleczyć Panią. Chyba mi się uda! Dzisiaj więc apeluję do wszystkich mieszkańców lasu, by nawiązali z „Irusią" korespondencję i wesołemi, miłemi liścikami umilili jej smutne życie.

PRZESŁAŁAM

„Bobuś." List w myśl życzenia przesłałam, a do naszej „Rodzinki" przyjmuję Panią z radością. Sądzę, że będzie Pani się czuła doskonale i swojsko wśród nas.

NAJLEPIEJ WYBIERAĆ PSEUDONIMY NIE POWTARZAJĄCE SIĘ...

„Ika I." Droga „córeczko"! dając odpowiedź „Ice" z nr. 2, zapomniałam o Tobie. Chętnie jednak komunikuję Czytelnikom, że odpowiedź ta nie była przeznaczona dla dawnej, znanej wszystkim „Iki". No, czy „Ikuś" zadowolona? Polecenie wypełniłam przecież. Nie moja to zresztą wina, że Sympatycy nie zważają na to, czy w „Krainie" nie ma już podobnego pseudoninu i przysyłają już zamieszczane. Uciążliwość to dla mnie wielka, czy to w odpowiedziach w „Krainie", czy też w przesyłkach korespondencyj. Myślę jednak, że dzisiejsza wzmianka poskutkuje na przyszłość i wszystko będzie znowu dobrze.

ZGODNIE Z ŻYCZENIEM...

„Sybilla" i „Hortensja". W myśl życzenia oddaję do druku cały list, moich nowych „cór":

„Droga i Kochana Pani! Po przeczytaniu kilku egzemplarzy „Moich Powieści", zainteresował nas specjalnie dział towarzyski „Kraina szczerości i naszych trosk". Prosimy zatem Kochaną Panią o zaliczenie nas do grona swych licznych „dzieci." Jesteśmy pewne, że nasza kochana „Matuchna" przytuli nas do swego serduszka i przedstawi swoim Sympatykom.

„Sybilla" lat 21 — ładna, czarna dziewczynka i „Hortensja" lat 20 — ciemno-blondynka, zgrabna i sympatyczna. Mieszkamy na wsi. Piszemy w celu nawiązania korespondencji z Przyjaciółmi „Krainy".

Więc nie zwlekaj — pisz zaraz, droga każda chwila, bo odpisze Ci „Hortensja" albo też „Sybilla"!"

LIŚCIK CZUPURNY I MIŁY

„Nora Pomorzanka." Proszę o adres, oraz zamieszczam liścik Pani, bo jest i czupurny i miły:

„Szanowna Pani Zofjo i Panie Januszu! Będąc abonentką „M. P." i zapaloną czytelniczką „Krainy szczerości", nie prośbą, ale szturmem wkraczam do serc, dalekich i zarazem tak bliskich mi osób. Sądzę, że znajdzie, a właściwie musi się znaleźć jeszcze jedno miejsce w rodzinie, bo ja nie uznaję oporu co do osób drugich. Pani Zofjo, myślę też, że trzeba trochę prosić, wobec tego proszę bardzo o zaliczenie mnie w poczet „córek i „synów" swej licznej „Rodziny". Na koniec dodam, że jestem zachwycona wierszami pani Maryli Wawrzyńczakównej, również i pani Jadwigi Jaw., natomiast ubolewam nad lenistwem pana Romana Nowaka, ponieważ podoba mi się jego styl pisania, a zaintrygował mnie pan, ukrywający się pod pseudonimem „Wuka." Mam dla Niego wielkie uznanie co do poglądu życiowego. Pozdrowienia dla wszystkich.

„Nora Pomorzanka."

MIŁY I SZCZERY LIŚCIK!

„Mała Wsatka.“ List Pani miły i szczery, oddaję do druku:

„Czcigodna Pani Zofjo! Nie będę się rozwodzić nad tyg. „Moje Powieści“, tylko krzyknę z całej siły: Cześć Inicjatorom M. P.! — a tymi — nie wątpię — są Pani Zofja i Wujek Janusz — prawda? Otóż mając moc zaufania do Pani, pozwolę się przedstawić, a Pani niezawodnie raczy mnie pocieszyć, samotną i smutną — przez korespondencję. Czy jestem samotną i smutną? Wszak mam rodzinę, radjo, książki i t. d., a w dodatku 19-tą wiosnę, jestem blondynką o niebieskich, szczerych oczach, średniego wzrostu, szczupła i mieszkam na wsi na 200 morg. gospodarstwie. Ach! jak byłoby mi miło korespondować z chłopcem o idealnych poglądach, możliwie z nauczycielem wiejskim, brunetem, o czarnych marzących oczach — by się wzajemnie przejrzeć w zwierciadle duszy. Pani Zofjo — czy mam wątpić, że może...

„Może znajdzie się ktoś —
Co uspokoi to „coś“,
Co się serduszkiem zwie
I do szczęścia się rwie.“

Zasyłam moc serdecznych i gorących pozdrowień dla Pani Zosi i Wujka Janusza.

„Mała Wsatka.“

W POSZUKIWANIU BRATNIEJ DUSZY

„Wesoła Wdówka.“ Bardzo wesoła, jak to wskazuje pseudonim, Czytelniczka „Moich Powieści“ pragnie znaleźć, gdzieś w świecie bratnią duszę w celu wymiany myśli w długie, zimowe wieczory. Życzenia Pani spełniam. Przesyłam moc serdecznych pozdrowień.!

CZY PAN ODEBRAŁ?

„Bydgoszczanin.“ Kilka listów, które nadeszły dla Pana, wysłałam, czy Pan odebrał? Proszę o dalsze listy i dalszą pamięć. Dziękuję za życzenia świąteczne.

ADRES!

„Milutka“ prosi „Bydgoszczanina“ o bliższy adres i dziękuje „Wikingowi I.“ za pozdrowienia.

DZIĘKUJĘ ZA POZDROWIENIA!

„Zojda“ dziękuje „Wandzie i Broni z lasu“ za pozdrowienia.

KTÓRA Z WAS LUBI NARTY?

„Anastazy Bydgoszczanin“ szalenie kocha pracę. Jedynie zimą pozwala sobie na entuzjazmowanie się Zakopanem. Sympatyczny ten Pan pragnie nawiązać wymianę myśli z inteligentną, kulturalną i poważnie myślącą przyjaciółką „Krainy“, która równocześnie lubi narty.

Nie wątpię w te, że otrzyma Pan liściki, ale możeby Pan pierwszy skreślił kilka słów do kogoś? W naszej „Rodzince“ jest przecież wybór tak wielki!

PRZECZYTAŁAM Z ZADOWOLENIEM

„Helusia z Pomorza.“ Poetyczny liścik przeczytałam z prawdziwem zadowoleniem. Sądzę, że teraz nakształt tych zbłąkanych ptaków, przylecą z dalekiego świata radosne, miłe liściki. Napiszcie więc Drodzy Czytelnicy do młodej, i bardzo miłej Pomorzanki.

NAPISZCIE DO „SYMPATYCZNEJ ZOSI“

„Sympatyczna Zosia.“ Ponieważ los skazał Ją na samotne, na łonie uroczej przyrody życie, chętnie nawiąże wymianę myśli z sympatycznymi panami. Rewanż — zapewniony!

Przesyłam Ci na zakończenie „Sympatyczna Zosiu“ dużo pozdrowień i uścisków.

PAMIĘTAJCIE O „CICERONIE“!

„Ciceron.“ Liścik Pana zrobił na mnie bardzo miłe wrażenie. Zapewnie dlatego, że napisany w tonie wesołym i nadzwyczaj szczerym. Lubię szalenie takie listy, i bynajmniej mnie nie odstraszają długie foljały.

Nie rozumiem tylko nieśmiałości Pana. To nie licuje z tą „silnie zbudowaną postacią“, przeciwnie — razi. A może tak źle nie jest i teraz po przeczytaniu mych słów zdecyduje się Pan pierwszy napisać do trzech wymienionych Sympatyczek. Chętnie im list doręczę.

Na koniec w imieniu „Cicerona“ proszę wszystkie „Siostrzyczki“, by pamiętały o Nim.

Teczka Wujka Janusza

NAWET JESTEM CIEKAW!

„Marzycielka.“ Wierszyk o Nowym Roku już nieaktualny, dlatego nie zamieszczam, natomiast „Telefon“ odłożyłem do „Teczki“, a wiersz „Dla Matki“ przeznaczyłem do „Mojego Świata.“

Dziękuję serdecznie za życzenia noworoczne i bardzo jestem ciekaw co miła „Marzycielka“ zakomunikuje mi ważnego w następnym liście.

Aha! Byłbym zapomniał: „Marzycielka“ dziękuje p. H. Skul-skiemu za pozdrowienia i w pełni je odwzajemnia.

A teraz żegnaj Droga Sympatyczko!

CZEKAM NA INNE...

„Amor II.“ Poprzedni wiersz był znacznie lepszy. Ostatnie są nawet słabe. „Niewdzięczny obraz“ nie posiada rytmu, „Sen aktora“ ma znowu myśli zbyt jednostronne. Czekam więc na inne, które na pewno będą tak oryginalne, jak „Jesienna miłość“. Przesyłam Panu wiele pozdrowień i ściskam serdecznie, dłoń.

WRÓCIŁY WSPOMNIENIA!

Znów w mem sercu dzisiaj żal,
Wspomnień znów wróciła dal,
Znów tęsknota smuci duszę,
Tak, że płakać gorzko muszę.
Za tak szybko minionemi
Dniami niegdyś promiennemi......

Szybko prysły sny młodzieńcze,
Szybko znikły marzeń tęcze.
Szybko prysnął sen uroczy,
Dziś mi żałość łzawi oczy.
Za tak szybko minionemi
Dniami niegdyś promiennemi......

Jakieś fata sny rozwiały,
W sercu żałość rozesłały,
W duszy ból i wspomnień wstęgę,
By mą cichą zwiększyć mękę.
Za tak szybko minionemi
Dniami niegdyś promiennemi......

Świat się bawi, świat się śmieje,
Wino, szampan, wciąż się leje,
Każdy pije radość duchem,
Choć me serce z żalu głuche.
Za tak szybko minionemi
Dniami niegdyś promiennemi......

„Bławatek.“

PROSZĘ PAMIĘTAĆ I PISAĆ!

„Biała Uajali.“ Serdecznie dziękuję mej Drogiej Sympatyczce za bardzo długi list i tyle wierszyków. Nie uwierzy Pani, jak ogromnie jestem wdzięczny za tę wzruszającą pamięć. Mało powiedzieć, że liścik ładny i wierszyki niektóre śliczne,, najlepiej poproszę o częste takie listy i ładne wierszyki. Sądzę, że i Czytelnikom będą się podobały przemiłe, pełne tęsknoty, i nieokreślonego smutku utwory.

Wiersza, o który Pani prosi, nie zamieszczę, wzamian jednak za to umieszczę inne i dam kiedyś na okładkę „Pamiętasz...“ Pozdrawiam w imieniu Pani „Dejota“ i „Fonsia“, a na zakończenie proszę raz jeszcze o dalszą pamięć.

ŻAL

Tak mi żal — tak bardzo żal...
Smutek serce mota,
Że nas dzieli taka dal —
Że tak rośnie wciąż tęsknota.
Tak mi żal — tak bardzo żal,
Że się życie szaro plecie,
I gna nami pośród fal,
Fal burzliwych, gdzieś po świecie.
Jedna barka w prawo mknie,
Druga w inną stronę —
Aby razem zeszły się,
Nie jest im sądzone.
— — — — —
Tak mi żal — tak bardzo żal.

„Biała Uajali.“

ROZŁĄKA

Minęły dni marzeń i pieszczoty,
Jak mara senna cicho, bezpowrotnie.
W pomrokach czasu zginął czar miłości,
Po której prócz szalonej tęsknoty,
Żal wielki w mem sercu zagościł.

Gołaszewo, w styczniu 1935 r.

„Ord-Om.“

NAPISAŁ ZNOWU DO MNIE „BŁAWATEK“

„Bławatek.“ Tak miłe, jak pseudonim, są i wierszyki Pani. Dzisiaj umieszczę jeden, innym razem drugi. Nowelka niestety, nie nadaje się do druku. Może inna będzie lepsza? A teraz mała rada: utwory proszę zawsze pisać po jednej stronie, gdyż to jest ogromne ułatwienie dla redakcji i zecerni. Dziękuję za pozdrowienia i informuję, że „Sercem do Was...“ można jeszcze nabyć. Wystarczy nadesłać do Administracji 85 gr w znaczkach.

ZAWALIDROGA MA GŁOS

Zaznaczałem już wam kiedyś, Kochane Czytelniki, jako że szwagier chorował z przeżarcia i w szpitalu leżał. Od tej pory taki jest mizerny, że musi dziad, dwa razy przez pokój przejść żeby go raz zobaczyć.

Ale pragnienie co pod względem alkoholu ma po staremu, a forsy nie posiada.

Ja również takżesamo bez gotówki chodzę, od czasu jak żona knajpe sprzedała i wszystkie pieniądze do banku oddała.

Więc ma się rozumieć siedziem kiedyś ze szwagrem u niego w domu i kompinujem skąd tu wziąść na butelkie.

— Mam jedne myśl — mówi do mnie szwagier — tylko nie wiem czy się uda!

Trza zrobić grande na nieboszczyka! Ja sie położe i będe odstawiał trupa, a ty, kochany, pójdziesz do dobroczynnego Towarzystwa i ze łzamy w oczach zażądasz fonduszów na mój pogrzeb.

Spodobała mnie sie ta myśl.

Szwagier położył sie na podłodze, nakryłem go prześcieradłem a sam jazda do Dobroczynności.

Taki raban tam podniesłem, tak zacząłem rzewnemy łzamy sie zalewać po śmierci najukochańszego szwagra, że żywo mnie stamtąd wyprosili i powiedzieli, że zara przyjdzie delegatka ciało obejrzyć i dać zapomogie.

Lece ja do szwagra, a ten, cholera, na łóżku siedzi i żeberka z ćwikłą opycha.

Ledwiem go zdążył nakryć prześcieradłem, jak tu wpada ta delegatka i pyta sie gdzie leżą żałobne zwłoki.

Odkryłem szwagierka i o mało mnie krew nie zalała. Wcale na trupa nie wyglądał. Morde miał zapchane żeberkami i trząsł sie cały, ze śmichu.

Mieliśmy szczęście, że ta owa delegatka bojała sie nieboszczyków i nie chciała blisko do łóżka podejść. Zostawiła nam 50 złotych na pierwsze koszta i poszła.

Szwagier jak forse zobaczył, warjacji poniekąd dostał; zaczął w kalesonach karjokie po mięszkaniu tańczyć, a tu ktoś sztuka. Chciałem iść otworzyć, ale mnie nie dał tylko sam skoczył.

— To Maniek Topielec idzie — mówi — będzie weselej we trzech pochromolić.

A temczasem to nie był Maniek, tylko ta owa delegatka co sie wróciła dowiedzieć kiedy będzie pogrzeb.

Jak zobaczyła, że nieboszczyk drzwi jej otwiera, nieprzyjemnie jej się zrobiło, dostała pulpetacji serca i zemglała.

Ma sie rozumieć wnieśliśmy ją do mieszkania i dawaj cucić.

Jak otworzyła oczy i zobaczyła, że trup w gaciach z butelką aromantycznego octu nad nią stoi, apiać straciła przytomność i to tak na fest, że musieliśmy Pogotowie do niej wołać.

W ten deseń wszystko sie wysypało i będziem teraz mieli we dwóch sprawe o oszustwo.

Z tego widać, że najlepsze nawet myśl, w mózg kopana idyjota, może zmarnować i nie radze Wam, kochane czytelniki, żadnych spółek z mojem szwagrem zakładać, bo tylko nieprzyjemność z tego mieć możecie

— — —

Eleganckie zimowe płaszcze



J 64 018 Śliczny płaszczyk z jasnej wełny bouclé. Oryginalny, drapowany na ramionach kołnierz, obszyty jest, podobnie, jak i rękawy, karakułami.

J 64 105 Płaszcz z prążkowanej wełny o fasonie wyszczuplającym, stosowny również dla starszych pań. Kołnierz nakładany — z perskich baranków.

J 64 019 Bardzo elegancki płaszcz zimowy z ciemno-brązowego aksamitu. Rękawy raglanowe. Efektowny kołnierz ze skunsów. Pasek wiązany z boku.

Moda karnawałowa

Najbardziej decydującym momentem w wyborze tualety jest i winno być piękno linji, charakter urody, dla której tualeta jest przeznaczona i dystynkcja.

Minęły już czasy, kiedy kobieta czekała na decyzję męża w kwestji sukni, dziś większość kobiet ubiera się za własne pieniądze, są więc paniami swego smaku.

Wobec tego, że warunki ekonomiczne w jakich żyjemy, nie pozwalają nam na zbytnią rozrzutność, musimy w wyborze tualet kierować się w pierwszym rzędzie względami praktycznemi.

Każda nowa moda, ustabilizowawszy się, odrzuca wszystko zbędne i niepewne, pozostaje tylko to, co jest skromne, wykwintne i celowe.

Tegoroczna moda jest wyjątkowo skromna. Nawet tualety karnawałowe nie są „wielkiemi tualetami".

Na jednej z warszawskich rewij ogólnem uznaniem cieszyła się zupełnie wąska czarna suknia, z przodu rozcięta z niewielkim trenem w kształcie rybiego ogona, z przodu wysoko podchodząca pod piękne brylantowe klipsy. Obok tualet czarnych karnawał przyniósł nam dużo modeli kolorowych.

Gatunki tegorocznych materjałów na popołudnie i wieczór odznaczają się wyjątkową dobrocią. Cieniutki aksamit jest tak elastyczny, że można zeń układać najmisterniejsze kokardy i żaboty, tafta posiada sztywność dawnych taft, ale za to nie pęka i nie gniecie się.

Naogół moda tegoroczna wymaga bardzo smukłej sylwetki.

Kto nie ucieka się do głodówki i nie uprawia sportów, musi nosić gumowy pas z lastexu, który przylega do ciała niczem własna skóra.

Jeżeli już mowa o pasach, nie od rzeczy będzie poświęcić kilka słów bieliźnie. Nocne koszule tracą swój charakter tualet balowych i upodabniają się raczej do skromnych sukienek stylowych, falbanki, aksamitki, bufki — oto przybranie koszul nocnych.

Koszulka dzienna jest jasna, w odcieniu błękitnym lub różowym i sięga za kolana.

Uszyta jest przeważnie z jedwabiu do prania. Majteczki takie same jak koszulka. Piżamy na rano przybrane są tylko monogramami.

Luksusowa bielizna pościelowa uszyta jest z satin po błyszczącej stronie i przybrana plisą z satin po stronie matowej. Ozdobiona jest jedynie pięknym monogramem.

DOBRA GOSPODYNI

Wykonanie pączków

Karnawał — to okres pączków. Dobry pączek powinien być wmiarę wysmażony, pulchny i elastyczny, naciśnięty dłonią, powinien się podnieść napowrót nieprzetłuszczony i ładnego koloru, powinien mieć jasną obrączkę.

Ciasto na pączki wykonywać można w różnych jakościach, licząc na pół kg mąki, od 2 żółtek do 12-tu, dodając w odpowiednim stosunku masło, cukier i drożdże. Parzone ciasto jest najsmaczniejsze; wykonanie tego ciasta wymaga większej staranności, a przedewszystkiem ciepłej temperatury w kuchni, inaczej nie urośnie. Wykonywać najlepiej pączki następującym sposobem: nabierać na łyżkę ciasta, położyć je sobie na lewą dłoń lekko przetłuszczoną, aby się nie lepiło, włożyć w środek konfiturę, a gdy uformuje się mała bułeczka, kłaść zaciśniętą stroną na deseczkę.

Inny sposób: włożyć ciasto na pomączoną stolnicę, rozwałkować na palec grubości nałożyć konfiturę, przykryć rozwałkowanem ciastem, wyciąć kółkiem.

Tanie, a smaczne pączki

Zarobić ciasto z 1/8 kg masła, 5 jaj pół litra mleka i około 1/8 kg cukru (nie brać więcej w środek, bo pączki staną się ciężkie i będą pić dużo tłuszczu przy pieczeniu). Drożdży należy wziąć 50 gr, a mąki tyle, aby ciasto było dość gęste. Wybić je dobrze i wykulać pączki, a gdy pączki podrosną, kłaść je na gorący smalec (pół kg wystarczy do upieczenia powyższej ilości).

—o—

Co słychać w polityce?

Zdawało się, że po pomyślnem dla Niemiec wyniku plebiscytu w Zagłębiu Saary i po historycznej decyzji Rady Ligi Narodów ustalającej jednomyślnie termin powrotu Saary do Niemiec na 1 marca b. r., **horyzont polityczny Europy** ostatecznie **się wyjaśni.**

Zdawało się, że po słynnem oświadczeniu kanclerza Hitlera z 15 bm. nabrzmiałem akcentami pokojowemi nic już nie stanie na przeszkodzie normalizacji stosunków politycznych w Europie, których podstawowym warunkiem jest nietylko udział Niemiec w pracach areopagu genewskiego, ale w większym jeszcze stopniu w umowach międzynarodowych, mających na celu zagwarantowanie pokoju.

Tak się to tylko zdawało!

W rzeczywistości **horyzont polityczny w Europie** jest nadal **zasłonięty chmurami,** a na drodze do normalizacji stosunków politycznych piętrzą się takie przeszkody, jak wysunięte przez Niemcy, pod osłoną tezy o równouprawnieniu, żądanie przekreślenia traktatu wersalskiego, jak chowane już w zanadrzu przez dyplomację niemiecką, — i nieostrożnie ujawnione w niedawnych wystąpieniach ambasadora Rzeszy w Waszyngtonie dr. Luthra i kierownika organizacji narodowo - socjalistycznej w Gdańsku Forstera, żądania terytorjalne, wśród których sprawa Gdańska i zagadnienie terytorjalnego połączenia Prus Wschodnich z Rzeszą, **a więc kwestja polskiego Pomorza** wysunął się prędzej czy później **na plan pierwszy.**

Przygrywki do przyszłej **akcji dyplomacji niemieckiej** mamy w ujawnionej już wśród ludności niemieckiej w odstąpionych okręgach Eupen i Malmedy (Belgja) oraz Szleswigu (Danja) agitacji kierowanej przez koła narodowo-socjalistyczne. Celem tej agitacji jest przygotowanie ludności tych okręgów do wysunięcia w swoim czasie żądania ponownego plebiscytu na tych obszarach. Że pójdą za tem analogiczne żądania w stosunku do innych obszarów, jak Gdańska, **Pomorza**, Śląska, Okręgów Sudeckich w Czechosłowacji, Austrji, i niemieckiej części Szwajcarji, to nie ulega już dziś wątpliwości. Aktywność dyplomacji niemieckiej, z którą współdziała precyzyjnie zmontowany aparat propagandowy, po wspaniałym sukcesie saarskim rozpręża się i sięga po coraz to dalsze cele, jakie ma nakreślone przed sobą program pangermanistyczny, realizowane konsekwentnie bez przerwy, niezależnie od takich czy innych rządów, od takich czy innych konjunktur, od dziesiątek lat. Zależnie od układu stosunków w Europie zmieniają się metody akcji, cele jej pozostają zawsze te same: zaborczość i ekspansja ekonomiczna.

Na terenie międzynarodowym pierwszym balonem próbnym akcji planowanej przez dyplomację niemiecką jest wniesiona w tych dniach przez znajdujący się na terenie Grecji narodowy komitet ludności wyspy Cypru rezolucja, domagająca się od Ligi Narodów zarządzenia plebiscytu na wyspie Cypr celem zadecydowania o jej przynależności państwowej.

Najciekawsze audycje Polskiego Radja w Warszawie

od dnia 27. I. do 2. II. 1935 r.

Niedziela, dnia 27 stycznia 1935 r.

9.00 Audycja poranna 10.05 A. Dworzak: Tańce słowiańskie (Płyty) 10.30 Transmisja Nabożeństwa 12.05 Przegląd teatralny 12 15 Transmisja z Filharmonji Warszawskiej. W przerwie około godz. 13.00 — 13.15: „Na Zachodnim Beskidzie" pogadanka — p. Macieja Gruszczyńskiego 14.00 Koncert popularny 15 00 „Zimowe zwalczanie szkodników i chorób roślin" odczyt 15.15 Orkiestra banjolistów 15.25 Przegląd rynków produktów rolnych 15.35 Dalszy ciąg programu ork. banjonistów 15.45 Pogadanka rolnicza 16 00 „Dzień w dzień" — fragment z powieści 16.20 Polskie pieśni na płytach 16.45 „Dzieci z Lasku" — opow. dla dzieci starszych 17.00 „Dziś! Dziś! Dziś! — Walter prosi do tańca. 17.50 „Badacze życia" 18.00 „Teatr Wyobraźni" 18 45 „Życie młodzieży" 19.00 Muzyka lekka 19 50 Feljeton aktualny 20.00 „Na wesołej lwowskiej fali" 20 30 Dziennik wieczorny 20.40 „Jak pracujemy w Polsce" 20.45 O operze „Neron" Mascagniego 20.55 Transmisja z teatru „La Scala" w Medjolanie. W przerwie wiadomości sportowe.

Poniedziałek, dnia 28 stycznia 1935 r.

6.45 Audycja poranna 12.10 Muzyka lekka. 13.00 Dziennik południowy 13.05 Arje operowe 15.35 Przegląd giełdowy 15 45 Muzyka lekka (piosenki) 16 45 Lekcja języka niemieckiego 17.00 Wieniec pieśni śląskich 17.25 „Skrzynka pocztowa" 17.35 Muzyka lekka 17.50 „Tajemnice wnętrza ziemi" 18.00 „Skrzynka pocztowa rolnicza", 18.10 Przegląd filmowy 18 15 Koncert 18.45 „Jak dostałem się na wyspę Niedźwiedzią" — pogadanka dla dzieci 19 00 „Wędrówka mikrofonu po Polsce" 19.25 Chwilka społeczna 19.30 Publiczność żąda za wiele — odczyt 19.50 Wiadomości sportowe 20.00 „A to pan zna...?" — płyty 20-45 Dziennik wieczorny 20.55 „Jak pracujemy w Polsce" 21.00 Koncert symfoniczny 21 45 Tradycja naukowa na Pomorzu" wygłosi ks. Alfons Mańkowski 22.15 Muzyka taneczna.

Wtorek, dnia 29 stycznia 1935 r.

6.45 Audycja poranna 12.10 Koncert 12.45 Audycja dla dzieci młodszych: „Jak Swiderek zbłądził w Borku" 13 00 Dziennik południowy 13.05 Dalszy ciąg Koncertu 15.35 Przegląd giełdowy 15.45 Muzyka lekka 16.45 „Skrzynka pocztowa P. K. O." 17.00 Koncert z cyklu „Sonaty L. van Beethovena" 17.25 Pogadanka społeczna 17.35 Muzyka łotewska 17.50 „Skrzynka pocztowa techniczna" 18.00 Wiadomości rolnicze 18.15 Mały koncert 18.45 „Czy literat może żyć z literatury" — szkic literacki 19.00 Utwory na skrzypce 19.20 Pogadanka aktualna 19.50 Wiadomości sportowe 20.00 Koncert popularny 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 „Jak pracujemy w Polsce" 21.00 „Coctaile muzyczny" 22.00 Koncert reklamowy 22.15 Fragmenty z dzieł Ryszarda Straussa 22.45 „Współpraca włosko-polska w odrodzeniu narodowem„ Odczyty w języku włoskim 23.05 Muzyka taneczna.

Środa, dnia 30 stycznia 1935 r.

6.45 Audycja poranna 12.10 Muzyka popularna 13.00 Dziennik południowy 15.35 Przegląd giełdowy 15.45 Fragment teatralny 16.00 „Włoskie nastroje" — koncert 16.45 Audycja dla dzieci starszych: „Chwilka pytań" 17.00 Z pieśni Fr. Schuberta: 17.25 „Dzieci żądają pomocy" — odczyt 17.35 Muzyka salonowa 17 50 Poradnik sportowy 18.00 Skrzynka pocztowa rolnicza 18.15 Trio fortepianowe 18 45 „Aktualne zagadnienia w samorządzie" 19.00 Piosenki ludowe 19.20 Pogadanka aktualna 19.30 Uwertura w wyk. Ork. B. B. C. — płyty 19.50 Wiadomości sportowe 20.00 „Orkiestra się spóźniła" — audycja muzyczna 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 „Jak pracujemy w Polsce" 21.00 Koncert Chopinowski 21.30 Odczyt w języku niemieckim 21.40 Recital śpiewaczy 22.15 Muzyka taneczna.

Czwartek, dnia 31 stycznia 1935 r.

6.45 Audycja poranna 12.10 Audycja dla dzieci młodszych: „Mówią i śpiewają dzieci" 12 30 XIII-ty Koncert Szkolny z Filharmonji Warszawskiej 13.00 Dziennik południowy 13.05 Z rynku pracy 13.10 Dalszy ciąg poranku Szkolnego z Filharm. Warsz. 15.35 Przegląd giełdowy 15.45 Marsze wojska polskiego 16.45 Lekcja języka francuskiego 17.00 Rozstrzygnięcie konkursu dramatycznego oraz słuchowisko p. t. „Most Kłamstwa" p/g Rauta Auernhelmera 17.50 Skrzynka pocztowa 18 00 „O nawożenie łąk i pastwisk" (Pogadanka rolnicza) 18.15 Wiedeńskie melodje (płyty) 18 45 „Co czytać" (nowości beletrystyczne) 19.00 Koncert chóru „Harfa" 19.20 Pogadanka aktualna 19 50 Mendelssohn-Bartholdy: Pieśni bez słów 19.50 Wiadomości sportowe 20.00 „Jak spędzić święto" 20.05 Muzyka lekka 20 45 Dziennik wieczorny 20.55 „Jak pracujemy w Palsce" 21 00 Koncert popularny 21 45 „Separatyzm dzielnicowy Wielkopolski" — odczyt 22.00 Koncert reklamowy 22.15 Skrzynka pocztowa 22.30 Muzyka taneczna 22 45 „Górny Śląsk — kraj czarnych djamentów" 23.00 Odczyt w języku esperanckim 23.05 Dalszy ciąg muzyki.

Piątek, dnia 1 lutego 1935 r.

6 45 Audycja poranna 12.10 Koncert 12.45 „Aprowizacja miast" — wygł. p. Halina Mamolukowa 13.00 Dziennik południowy 13.05 D. c. Koncertu Zespołu 15,35 Przegląd giełdowy 15.45 „Polskie pieśni myśliwskie" — aud. muz. 16 45 Audycja dla chorych 17.15 Fr. Schubert: kwartet smyczkowy 17.50 „Przegląd wydawnictw" 18.00 „Wiadomości rolnicze" 18 15 Potpourri operetkowe — płyty 18 55 „O istotnych i urojonych błędach językowych"?— odczyt 19.00 Duety 19 20 Pogadanka aktualna 19 30 Muzyka 19 50 Wiadomości sportowe 20.00 Pogadanka muzyczna 20.15 Koncert symfoniczny. W przerwie Dziennik wieczorny oraz „Jak pracujemy w Polsce" 22 30 Recytacje poezyj 22.40 Koncert reklamowy 23.05 Muzyka taneczna (płyty) 24.00 Muzyka taneczna.

Sobota, dnia 2 lutego 1935 r.

9.00 Audycja poranna 10.00 Transmisja Nabożeństwa z Krakowa 12 05 Przegląd teatralny 12.15 Poranek muzyczny. W przerwie — około godz. 13.00—13.15 Pogadanka krajoznawcza 14.00 Muzyka salonowa 15.00 „Trzeba zajrzeć w pole" — (gawęda) 15.15 Muzyka salonowa 15 35 Melodje z pt. „Gejsza" 15.45 „Z pokolenia na pokolenie" (pogadanka) 16.00 Najnowsze nagrania na płytach 16 30 „Teatr Wyobraźni" nadaje słuchowisko dla dzieci starszych pt. „W zapusty" 17.00 Koncert orkiestry 17.50 „Odpoczynek matki" — odczyt z cyklu „Dom i rodzina" 18.00 „Przegląd prasy 18.15 Drobiazgi fortepianowe 18 45 „W labiryncie instynktów zwierzęcych"— reportaż 19.00 Recital 19.20 „Grodno" (Odczyt z cyklu „Miasta i miasteczka polskie") 19 30 Utwory na cytrę 19.50 Wiadomości sportowe 20.00 „Od chatki do chatki" — „Od karczmy do karczmy" — „Od piosenki do piosenki" — suita chłopska Tadeusza Sygietyńskiego 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 „Jak pracujemy w Polsce" 21 00 Koncert popularny 21.45 Szkic literacki „Ustawa bibljoteczna" 22.00 Koncert reklamowy 22.15 Muzyka taneczna 23.05 „Loża Szyderców" 23.35 Muzyka taneczna (płyty) 24.00 Muzyka taneczna.

CHWILA ZASTANOWIENIA

ŁAMIGŁÓWKA
(ułożyła „Tofi")

1						
2						
3						
4						
5						
6						

Wpisać poziomo sześć wyrazów o wspólnej końcówce. Rząd środkowy-ukośny, przeczytany z góry do dołu da rozwiązanie.

1. Państwo Ameryki Północnej.
2. Ujemne znaczenie pieniądza.
3. Inaczej powóz w XVI wieku.
4. Jedna z bohaterek utworów Moniuszki
5. Pismo radjowe.
6. Część składowa samolotu.

DOPISYWANKA

W miejsce kresek wstawić litery w ten sposób, aby powstał czterowiersz Adama Asnyka.

„D- --ch --le-y --tr--js-- d--eń,

-o -ow--h ł--ną --ob--zy,

K-- --ę -su - w --sz- i -ie-,

--n s-- do - wy-- -i- --cz-."

Za rozwiązanie powyższych zadań, redakcja wyznacza nagrodę w postaci dwóch książek. Rozwiązania należy nadsyłać do piątku dnia 1-go lutego b. r.

Rozwiązania zadań z nr. 2 „Moich Powieści." Magiczny kwadrat: Wapno — Atłas — Płock — Nacia — Oskar. Szarada: Ojczyzna.

Trafne rozwiązania nadesłali: Hieronim Kramer Sierszew, J. M. S. Kowalewo, Marja Kaczmarkowa Wilkowyja, Helena Malikowa Kalwarja Zebrzydowska, Noja Ambroży Drawsko, Ewald Odrozek Radlin, Lora Zmarzłówna Chorzów, Franciszek Koczwara Chorzów, Paweł Twardawa Kryzy, Marta Kulcentowa Wólka, Fr. Bałaszczuk Golina, Roman Matowski Kraszewo, Michał Smereka Wyszecino, Helena Szajner Lublin, Alojzy Dobiesz Jeziorko, Feliks Dulkiewicz Dobrzejewice, Pelagja Nowicka Jaroszew, Zofja Gadomska Tomiczki, Franciszek Grzybowski, Kruszwica, Marja Konikowska Sulmierzyce, Szymankiewiczówna Czempiń, Pola Gotlikowska Starogard, Stefan Śledzikowski Gdynia, Stanisław Dymek Rogoźno, Kazimierz Rauchfleisch Smętowo, Kazimierz Chęś Srebrnogóra, Marjan Mizera Żerków, Czesław Kozłowski Warszawa, Janusz Jodłowski Rozprza, Henryk Silczyński Warszawa, Franciszek Grzesiek Mnichy, C. Ziółkowski Łożyń.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp. Januszowi Jodłowskiemu — Rozprza i Zofji Gadomskiej — Tomiczki, pow. Otusz.

Wśród warjatów

Upiór zamku Sokolskich

(Romans)

21)

Tuż za nim ukazało się czterech służalców, ale stary Walenty wypchnął ich za drzwi, zamknął je za sobą i spoglądając z boku z bojaźnią, pomieszaną ze współczuciem na młodego mężczyznę koło siebie, zapytał drżącym głosem:

„Czy ma pan hrabia jeszcze jakie rozkazy co do mnie?“

„Nie“, zabrzmiało z ust Zygmunta; „wyjdź teraz, Walenty, i czekaj na korytarzu na dalsze rozkazy. Nikt nie śmie się kłaść, wszystko musi dzisiaj czuwać, może się zdarzyć, że będę was jeszcze potrzebował.“

Z głębokim ukłonem zniknął Walenty za drzwiami, hrabia Teodor zadrżał, jak tylko zapadła klamka za wychodzącym starym sługą.

Znowu długie, trwożliwe milczenie, aż wreszcie stary hrabia Teodor Zamski podniósł pomału głowę, wydobywając ze siebie następujące słowa:

„Postąp bliżej, — całkiem blisko, — chcę ci patrzeć w oczy.“

Spokojnie, ze skromnością, przystąpił Kazimierz do ojca. Dzielił go tylko stół od obu mężów.

„Oto jestem, mój ojcze,“ odezwał się Kazimierz spokojnym głosem. „Widocznie chcesz mnie przesłuchać, muszę ci wyznać, że niczego sobie więcej nie życzyłem, jak tego. Już aż za długo ciężyła na mej głowie hańba niegodnego posądzenia. Spodziewam się, że potrafię się oczyścić z tego. — Pytaj, ojcze, a ja ci będę odpowiadał.“

Hrabia Teodor wstał pomału, oparł się na krawędzi stołu, jego wysoka, barczysta postać zadrżała, jakby burza szalona przeszła tuż ponad nim. Wpatrzył się badawczo w oczy syna, jakby pragnął przez nie aż na dno duszy winnego zaglądnąć.

„Hrabio Kazimierzu Zamski“, odezwał się stary hrabia, „obecnie liczysz dwadzieścia cztery lat życia, od czasu twego przyjścia na świat, nie rozłączaliśmy się nigdy od siebie, — żyliśmy razem nie jak ojciec i syn, tylko jak dwaj najserdeczniejsi przyjaciele. Napełniłem duszę i serce twoje najpiękniejszem i najwznioślejszem, co tylko może młodzieńca i arystokratę ozdobić, uszlachetnić, — starałem się przedewszystkiem wlać ci uczucie znaczenia i zrozumienia wartości twojej własnej osoby, wszczepić ci poznanie z jak szlachetnego szczepu kraju pochodzisz, Kazimierzu, co jest, — jak cię uczyłem, — pierwszym obowiązkiem prawdziwego szlachcica?“

„Uczyłeś mnie, mój ojcze,“ odpowiedział Kazimierz stanowczym głosem, że pierwszy obowiązek prawdziwego szlachcica polega na tem, aby nigdy nie zaprzeć się swojego przekonania i niczego więcej nie nienawidzieć i staranniej się nie strzec jak — kłamstwa.“

„Tak jest, — tak cię pouczałem, dodając jeszcze zawsze do tego następujące pytanie: Co ma uczynić szlachcic, który zmuszony, Bóg wie jakiemi okolicznościami, stał się winnym kłamstwa?“

„Ma je otwarcie i ze żalem wyznać, aby potem odejść i umrzeć!“ zabrzmiało z warg Kazimierza.

„Tak jest, a więc, jeżeli się tak ma ta rzecz, wiesz dobrze, że w tej chwili życie własne trzymasz w swych rękach“, ciągnął dalej hrabia Teodor podniesionym głosem, „jedno, jedyne kłamstwo, a zginąłeś nieszczęsny. Teraz więc odpowiedz mi: Wpakowałeś ty mordercze żelazo w piersi tej nieszczęśliwej, młodej dziewczyny, — czyś ty popełnił tę zbrodnię, która dzisiejszej nocy w zamku hrabstwa Sokolskich została dokonaną, — tak albo nie, Kazimierzu, — jesteś ty mordercą panny Elzy Roden?“

Stary hrabia zamilkł, tylko jego źrenice rozszerzyły się w niezwykły sposób. Stał przed młodzieńcem nie jak ojciec, tylko jak sędzia, — sędzia, od którego nie można się było spodziewać łaski lub miłosierdzia dla winnego.

Zygmunt podniósł się również i jego oczy spoczęły z oczekiwaniem na ustach Kazimierza, — następne słowo miało przynieść rozwiązanie.

„Kazimierzu!“ zawołał hrabia Zygmunt, boleścią spotęgowanym głosem, „zdarzają się chwile w życiu ludzkiem, w których nie można sobie zdać sprawozdania z własnych uczynków. Namiętność zaciemnia aż za często zmysły młodzieńca, tak, że ów traci panowanie sam nad sobą. W takiej chwili i najlepszy, najszlachetniejszy staje się zdolnym do uczynku, który w innych okolicznościach starałby się przeszkodzić, potępiłby go bezwzględnie. Kazimierzu, oto stoi tuż przed tobą szlachetny mąż, — twój ojciec; — ten sam, któremu zawdzięczasz swoje życie, nie odważysz się przecie próbować go okłamać. Jeszcze Inny znajduje się także obok nas i spogląda na cię z góry, On zna już naprzód odpowiedź twoją, młody hrabio, bo On patrzy w twoje serce, Kazimierzu. — Niechże On cię oświeci w tej chwili Swoją łaską, abyś znalazł prawdziwe słowo i prawdziwą drogę, — Bóg tylko wie wszystko, — On jedyny zna twoją niewinność, lub — twoją winę.“

„Dobrze, więc w imię Jego chcę przysiąc!“ zawołał Kazimierz, podnosząc swoją prawą rękę i kładąc ją niby wiarogodny znak na swoje silnie bijące serce. „Byłem jeszcze chłopcem, kiedy mnie uczono, że niemasz większej zbrodni jak krzywoprzysięstwo. Pamiętny na to wołam:

Jestem niewinnym, Bóg Wszechmocny jest moim świadkiem, moje ręce czyste, — ja nie rozlałem krwi Elzy Roden!“

Jak tony dzwonu, wdzierające się głęboko w serca ludzkie, zabrzmiały słowa Kazimierza w sali, — jakby wołanie jakieś nadziemskie niepochodzące z ust człowieczych, wibrujące z góry, obiło się o uszy obu mężczyzn, którzy z gorączkowym niepokojem, w rozdrażnieniu graniczącem ze szaleństwem oczekiwali wyznania młodego mężczyzny.

Rysy twarzy hrabiego Zygmunta rozjaśniły się, głęboki oddech wydobył się z jego piersi, ze wzruszeniem, którego nie umiał sobie wytłumaczyć, spoglądał na Kazimierza.

„Niewinny“, zawołał pan zamku Sokolskich drżącym głosem, „tak, mój nieszczęśliwy, młody chłopcze, ja wierzę ci z całego serca, — tobie, w którym wypowiedziałeś twoje wyznanie, nie możesz być kłamstwem, a gdyby niem był, ha, w takim razie niema wiary, niema ufności w tym świecie. Gdybyś był zdolnym w tej świętej godzinie wyrzec wbrew własnemu przekonaniu, — o, — wówczas straciłbym wiarę we wszelkie stworzenia Boskie, opatrzone znamieniem nieśmiertelności!“

„Dziękuję panu, panie hrabio Sokolski“, odpowiedział Kazimierz. Z pięknych jego rzęs wyrwały się dwie wielkie łzy, spadające mu po policzkach, „Dziękuję za te słowa, jakieś mi raczył darować. Nigdy ich nie zapomnę, całem życiem pełnem wdzięczności zechcę je wynagrodzić te dwa wielkie, szlachetne słowa: Wierzę ci!“

Ale w tej samej chwili, w której Kazimierz wyciągnął swoją rękę, aby uścisnąć prawicę hrabiego Zygmunta, podniósł hrabia Teodor swoje ramię. Ciężko, niby miecz katowski, spuścił je pomiędzy ręce swego syna i swojego przyjaciela.

„Tak daleko jeszcze nie doszliśmy!“ zawołał głuchym głosem, „dotychczas usłyszeliśmy dopiero to pojedyńcze zdanie: „Ja jestem niewinnym!“ Jeżeli chcemy pozostać, — tak jak przystoi w tej ważnej sprawie, — poważnymi sędziami, musimy mieć dowody tego twierdzenia; jeżeli możesz nam ich dostarczyć, wówczas — wówczas uścisnę cię otwartemi ramiony, przycisnę do mojej piersi ojcowskiej, — jeżeli jednak zabraknie ci ich, wówczas —“

Kazimierz cofnął się, blady jak trup.

„Ojcze“, zawołał, „na to nie zasłużyłem! Ojcze, czyż okłamałem cię kiedykolwiek w życiu? Czyż nie postępowałem zawsze zgodnie z twojemi szlachetnemi napomnieniami i naukami, jakie mi wszczepiłeś w serce, i w tej świętej, poważnej chwili miałbym być kłamcą? — O, ojcze, ja kochałem ciebie gorąco całem przywiązaniem wdzięcznego serca synowskiego, — ale, że ty teraz w tym momencie niedowierzasz mi, żeś potrafił choć chwilę wątpić w moje słowa, — to, mój drogi, padnie na tę głęboką miłość dziecka jak silny mróz w wiosenną noc, ten kwiat miłości dziecięcej, któryś ty sam wszczepił i wypielęgnował w mojem sercu, zdeptałeś obecnie własnemi nogami, zniszczyłeś twojem niedowierzaniem!“

Hrabia Teodor zbladł aż po same białka oczu, — prawicą rozczesywał nerwowo swoją długą, siwą brodę, — oczy rzucały niespokojne spojrzenia, cała postać barczysta zadrżała pod ciężarem ważności tej chwili.

„Jakżeż chętnie chciałbym ci wierzyć“, wyjęczał, łapiąc się za piersi i zagłębiając paznokcie w swoje ciało, „jak chętnie chciałbym cię nazwać swoim synem, — mam ciebie przecież jedynego tylko, — tyś jedyną pociechą, nadzieją mojej starości, ale — tutaj rozchodzi się o wyznanie umierającej, która ciebie wymieniła jako mordercę. Byłem zawsze sumiennym w mojem życiu, tak we ważnych jak i w mniejszych rzeczach, — nie mogę tak lekko przejść do porządku dziennego w tak ważnem za-

gadnieniu, jakie mi los życia zadał, — przeto odpowiadaj mi na moje pytania krótko i węzłowato, przedewszystkiem szczerze!"

„I owszem, zrobię to, ojcze", odrzekł tonem, który stracił już pierwszą swoją łagodność i miękkość, — „proszę, zadawaj mi pytania."

„A więc, — jakże to się stało, że cię dzisiaj w nocy znaleziono w parku zamku Sokolskich, którego przedtem nie przestąpiłeś, bo jak mnie zapewniono, nie zadałeś sobie nawet trudu oddać list polecający hrabiemu Zygmuntowi."

„Mój ojcze", odezwał się Kazimierz, „aby ci to wyjaśnić, muszę zacząć od dalszej przeszłości."

„Tylko nie za dalekiej!"

„Ojcze, jeżeli się mam bronić, musisz mi pozwolić wypowiedzieć wszystko, co tylko służy do wyjaśnienia sprawy, jeżeli zaś zacznę moją obronę wyrzutem przeciwko tobie, przebacz mi. — Dlaczego, mój ojcze, nie odwiedziłeś mnie w przeciągu tych czterech długich tygodni, jakie przeleżałem chory? Czyżby nie doszedł do ciebie mój list?"

„Twój list? — Ja nie otrzymałem ani słowa od ciebie. Ba, — wszystkie poszukiwania za tobą, jakie rozporządziłem, okazały się bezowocnemi, — policja nawet szukała za tobą, — ale ani śladu nie znalazła. Gdzieżeś to przebywał, — co cię tak silnie zajęło, żeś nie uważał za stosowne donieść choć słowem własnemu ojcu?"

„Ha, ja to przeczułem!" zawołał Kazimierz. „A więc mój list nie doszedł cię? — Naturalnie zniszczyli go. Przecież było to głupotą z mojej strony, choć na chwilę wątpić w to. — A więc, mój ojcze, słuchajże; krótko i treściwie chcę ci moje zdarzenie opowiedzieć, które, to przysięgam przed Bogiem, słowo w słowo zawiera prawdę.

Wiesz o tem, ojcze, że na cały rok wyjechałem w podróż. Bliskie miasto rezydencji miało być moją ostatnią stacją, zanim miałem pospieszyć w twoje objęcia. Pewnego dnia spotkałem mojego przyjaciela lat młodocianych, a że nadarzała się właśnie wyborna sposobność polowania, postanowiłem zabawić się i rozerwać umysł tym szlachetnym sportem. Właśnie wówczas spotkałem piękne, kochane dziecko, śliczne dziewczę, prawdziwe arcydzieło natury. Spotkałem ją w pobliżu domu obłąkanych doktora Morizano i na skraju lasu czekałem na nią. Naglę usłyszałem jej krzyk o pomoc, chciełi ją przemocą zatrzymać w zakładzie, — pospieszyłem jej z pomocą i od tej chwili zamknęli mnie w tym budynku z początku przemocą, potem podstępem i kłamstwem trzymali mnie tam przez cztery tygodnie, — wszelkie próby, usiłowania przesłać do ciebie jakąś wiadomość, zawołać o ratunek, okazały się płonnemi, strzeżono mnie aż za dobrze."

„To brzmi bardzo dziwnie, zakrawa strasznie na jakąś baśń z tysiąca i jednej nocy", odezwał się hrabia Teodor. „Jakżeż to możebnem, aby w zakładzie tak bliskim rezydencji dać się zamknąć na całe cztery tygodnie, aby tam mogli więzić człowieka wbrew jego woli? — To możliwem było może w wiekach średnich, ale obecnie przy tak czujnej straży policji, przy takich ostrych prawach,



Wicekról Indji wydał wielkie przyjęcie t. zw. „garden-party", na którem zebrała się elita Kalkuty. Na zdjęciu widzimy wicekróla z małżonką w czasie przyjęcia w ogrodzie.

to jest rzeczą wykluczoną, najzupełniej nieprawdopodobną."

„Mylisz się, mój kochany przyjacielu", zawołał hrabia Zygmunt ze stanowczością, która i na hrabiu Teodorze wywarła swoje wrażenie, „to prawda, że nasze władze czujne, że przeszkadzają i nie dopuszczają gwałtów, o ile w ich siłach, ale właśnie co się tyczy zakładu obłąkanych doktora Morizano, — ja znam go, i chociaż nie mam powodu uskarżać się na tego lekarza, bo pielęgnował mi moją drogą Almę przez szesnaście lat pomimo, że ani centa za to nie dostawał, — to przecież nie wierzę temu człowiekowi, — jego fałszywy wzrok, przymilanie się i uniżanie nie podobają mi się, — być może, że wyrządzam mu krzywdę, wypowiadając obecnie przeciw niemu, — ale jakiś wewnętrzny głos, przeczucie, ostrzega mnie przed nim, przeto opowiadanie twego syna co do zakładu doktora Morizano nie jest całkiem bezpodstawne, ja nie uważam tego za zupełnie nieprawdopodobne."

„Zbadamy tę sprawę później dokładnie", zawołał hrabia Teodor Zamski, „doktor Morizano żyje jeszcze przecie, można się go będzie spytać, ale to wszystko nie wyjaśnia jeszcze, w jaki sposób dzisiaj w nocy dostałeś się do ogrodu zamkowego?"

„W najprostszy sposób na świecie, ojcze", odrzekł Kazimierz. „Dzisiaj w nocy udało mi się uwolnić z więzienia. Przez okno wyskoczyłem do ogrodu, wydrapałem się na mur i pobiegłem na ślepo w kierunku miasta. Ale przybywszy aż tutaj do tego zamku poczułem ogromne znużenie i zawrót głowy, który łatwo da się wytłumaczyć czterotygodniowem zamknięciem. Przypadkowo od chłopa, który tędy jechał, dowiedziałem się, że zamek ten jest własnością hrabiego Zygmunta Sokolskiego; usłyszawszy to byłem przekonanym, że szlachetny ten pan nie odmówi mi swojej pomocy, że mnie wesprze radą i czynem, bo zaraz stąd chciałem się udać do policji, aby oskarżyć doktora Morizano. — Mój Boże, teraz dopiero wpada mi do głowy, że zapomniałem tymczasowo na mój najświętszy obowiązek, — muszę przecież uwolnić moją drogą dziewczynę, która jęczy jeszcze ciągle w więzieniu doktora Morizano!"

Kazimierz obrócił się i pospieszył gorączkowo do drzwi, ale ostry głos hrabiego Teodora powstrzymał go u progu.

„Zostaniesz tutaj!" zagrzmiał siwowłosy starzec. „Musisz zdać rachunek ze wszystkiego, w tej chwili nie jesteś wolnym człowiekiem, — tak długo, dopóki się nie okaże jasno twoja niewinność, musisz się poddać mojej woli!"

„Ojcze, ty nie wiesz sam, co czynisz", zaszlochał Kazimierz, powracając do stołu z bladą, wystraszoną twarzą; „najśliczniejsza dziewica na całej kuli ziemskiej za kratami żelaznemi więzienia, — otoczona furjami i warjatkami, — życie jej przecież tak niepewne w takiem otoczeniu, — ojcze, dozwól mi przynajmniej tylko tyle czasu, abym mógł donieść o tem policji, a ja ci przysięgam —"

„Zostaniesz tutaj!" zawołał hrabia Teodor. — „Ja sam udam się do zakładu obłąkanych doktora Morizano, jeszcze dzisiaj w nocy, natychmiast, — zbadam, czy to, coś tutaj opowiadał, zasługuje na nazwę prawdy, jeżeli tak, to biada temu, który śmiał hrabiego Zamskiego przez całe cztery tygodnie pozbawić wolności!"

„A więc chcesz mnie traktować jak więźnia, ojcze", zawołał Kazimierz drżącemi wargami, tocząc ponuro oczyma i zaciskając konwulsyjnie pięści, — „nie, na Boga, to przekrasza rzeczywiście granice prawa, jakie ci dało niebo nademną, — wszystko ci mogę poświęcić, tylko jej nie, mojej najdroższej, która

zabrała mi me serce, której przysiągłem wierność aż do grobu, — ojcze, ja ją muszę ratować, — pozwól mi odejść, — wypełń tę ostatnią prośbę swego syna!“

„Wypełń ją“, odezwał się również hrabia Zygmunt, „wysłuchaj tej jego prośby, — to przecież nie jest niczem złem, czego żąda od ciebie, jedź z nim do zakładu doktora Morizano, pomóż mu uwolnić tę biedną dziewczynę!“

„On pozostanie tutaj pod ścisłym nadzorem!“ wydobył ze siebie hrabia Teodor, „on nie należy obecnie do mnie, tylko do władzy, jak tylko wina jego wyjdzie na wierzch, nie będę zwlekał ani minuty, oddać go w ręce sprawiedliwości, przed którą musimy się wszyscy ugiąć, choćby nam przyszło krwią serca to odpłacić!“

Z głuchym jękiem upadł Kazimierz na krzesło, — drżenie owładnęło całe jego ciało, — nerwy osłabły, — dziwny zamęt zapanował w jego głowie, — oczy poczęły mu się dziko świecić.

„Na to nie mogę się dłużej patrzeć“, zamruczał hrabia Zygmunt, „to prawda, Teodorze, że Kazimierz jest twoim synem, z którym możesz postępować jak ci się żywnie podoba, — ale przebaczysz mnie, że ja wyjdę, ja mam przecież także serce w piersiach, a to, co się tutaj dzieje, przechodzi moje siły ludzkie.“

Rzuciwszy jeszcze jedno pełne współczucia spojrzenie na młodego człowieka, opuścił salę, krocząc z energją.

Hrabia Teodor nie zatrzymał go ani jednem słowem, wielkimi krokami mierzył czytelnię wszerz i wzdłuż, aż nagle przystanął tuż przed Kazimierzem.

„Teraz jesteśmy sami“, odezwał się, „teraz zrozumiemy się łatwiej. Twierdziłeś, że w zakładzie doktora Morizano znajduje się dziewczyna, dla której wstąpiłeś sam do tego budynku.“

„Tak jest, ojcze, to twierdzę, bo to pełna, czysta prawda.“

„Imię tej dziewczyny?“

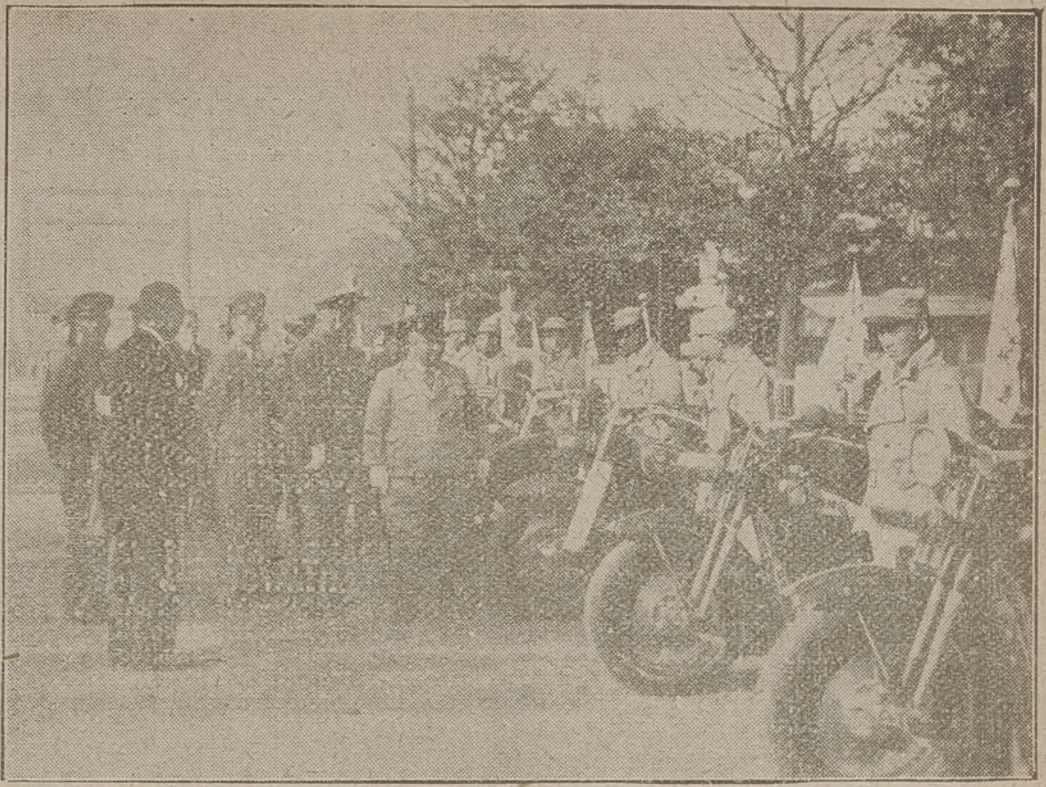
„Anielcia Dubois.“

„Jej rodzice, — jej ojczyzna, — kto ona, — i z jakiego powodu przybyła tutaj?“ badał stary hrabia.

„Mój ojcze, ona niema rodziców. Z Paryża przybyła tutaj bez opieki, sama jedna, opuszczona i dlatego —“

„Teraz wiem już dosyć“, skinął hrabia. „A więc to jakaś przejezdna awanturnica, w której zakochałeś się na łeb i na szyję? To bardzo niepomyślnie świadczy o tobie i to mnie rzeczywiście bardzo zadziwia. — Ale ja w tej chwili muszę zbadać tę całą historję aż do gruntu, abym wiedział, jak mam postępować. — Ty zostaniesz tutaj, służba będzie cię strzegła, ja zaś dosiędę najszybszego rumaka ze stajni hrabiego Zygmunta; w godzinę jestem z powrotem, wówczas rozstrzygnie się twój los.“

„Dobrze, ojcze, jedź, — jedź tylko!“ zawołał Kazimierz, którego serce uderzyło żywiej ostatnim promykiem nadziei. „Zażądaj Anielci Dubois i spytaj ją sam, czy nie użyto gwałtu przeciwko niej i mnie. — Jej orzeczenie rozstrzygnie, jestem przekonanym o tem, że ona mnie uratuje, bo to anioł w ludzkiej postaci, nie awanturnica, tylko anioł stanie przed tobą i wypowie ci prawdę, o której nie będziesz śmiał wątpić!“



W Japonji powstał teraz plan zorganizowania ochotniczego korpusu motocyklistów, do którego mają przystąpić wszyscy obywatele, posiadający pojazdy. Poza korpusem motocyklowym, zorganizowany będzie także korpus samochodowy. — Korpusy te będą poddane ministerstwu obrony krajowej. Na ilustracji widzimy grupę ochotników w czasie apelu.

„Zapytam jej“, odparł hrabia Teodor, głucho, „nim powrócę, módl się, nieszczęsny, — módl się, aby Bóg w łasce swojej niezmiernej sprawił, bym ci mógł radosną wieść oznajmić. — Nie łudź się, Kazimierzu, twoje życie stoi na karcie, ja nie posiadam mniej poczucia obowiązku i honoru jak ów starowieczny Rzymianin, który sam posłał synów swoich na krwią ociekłe rusztowanie, — choćbym miał sam to opłacić własnem życiem, — prawo musi zostać prawem, a zbrodnia ta niesłychana w zamku Sokolskich musi być odpokutowaną.“

Hrabia Teodor wybiegł ze sali. Z trzaskiem i hałasem zapadły drzwi za nim, Kazimierz słyszał, jeszcze jak klucz obrócił się zewnątrz w zamku i jak jego ojciec wydawał dalsze rozkazy:

„Odpowiadacie mi za niego! — Biada temu, któryby się ośmielił dopomóc mu do ucieczki, — mój syn, hrabia Kazimierz Zamski, jest więźniem!“

„Więźniem!“ wykrzyknął Kazimierz, śmiejąc się strasznie dziko, — niestety łzy nie puściły mu się z oczu, aby ulżyć pełnemu goryczy sercu. — „A więc jestem więźniem własnego mojego ojca!“

XXVII.

Niewinnie uwięziony — we wzgardzie

Dwie długie, pełne męczarni godziny ciągnęły się wiecznością dla młodego, nieszczęśliwego mężczyzny, z których każda minuta o rozpacz go niemal przyprawiała.

Kazimierzowi zdawało się, że to jakiś ciężki, dręczący sen, nie mógł uwierzyć, aby te wydarzenia ostatnich godzin mogły być prawdą. Był oskarżonym o morderstwo, a więc o najpodlejszą zbrodnię, na jaką zdolnym jest odważyć się człowiek od czasu przedpotopowego bratobójcy Kaina!

Widział był to miłe, pełne wdzięków dziewczę, które leżało u podnóża dębu z głęboką raną w piersi, z której się krew sączyła, — widział tę straszną boleść w oczach hrabiego Zygmunta, — przeklinał sam mordercę, którego zbrodnicza ręka zadała młodemu życiu ten cios śmiertelny.

Ale, że na niego padło podejrzenie tego występku, że choć na chwilę zdołano uwierzyć, że on jest mordercą Elzy Rodeń, — to rozdzierało mu serce na dwoje.

I któż to był, kto przedewszystkiem podniósł to straszne oskarżenie przeciwko niemu? — Jego ojciec, własny ojciec, — ten sam, którego znał dotychczas tylko jak swego najszczerszego, najlepszego przyjaciela!

Z jaką surowością i bezwzględnością prowadził ów starzec całe śledztwo, — ile razy oskarżył go o kłamstwo, o nieprawdę, — Kazimierz nie mógł powstrzymać gwałtownie napływających łez do oczu, rozpłakał się i szlochał jak małe dziecko.

Nagle zadrżał, usłyszał, że drzwi od biblioteki otwierają się. Miałby to już być jego ojciec z powrotem? Może godzina upłynęła dopiero od czasu, kiedy hrabia Teodor opuścił zamek. A może to hrabia Zygmunt, który przychodzi pocieszyć go w nieszczęściu?

Nie, — jakaś obca postać wsunęła się przez odchylone drzwi do biblioteki, jakiś mężczyzna, mający na sobie liberję hrabstwa Sokolskich.

(Ciąg dalszy w następnym numerze).

Tajemnice Wenecji

(Przekład z francuskiego) 72)

Obecni nie dowierzali uszom własnym.

— Pierwszą jego ofiarą był Rodrigo Zeni — rzekła Edyta. — Jingo zamordował senatora Brabantina. Jingo przeprowadził intrygę, wskutek której Antonio Priuli został na śmierć skazany. Jingo, zawiadomiony o powrocie mojego ojca spotkał go po wylądowaniu i zamknął w starej wieży, gdzie nieszczęśliwy, bliski był już głodowej śmierci!

Daponte zbliżył się do Contariniego i szepnął doń parę słów.

Jingo zacisnął pięści... — Śmierć wam wszystkim! — zawołał zdławionym głosem. — Niechaj woda was pochłonie! Niech pochłonie całą Wenecję!

— W imieniu prawa, aresztuję cię Jingo Foscari, a wam panowie polecam go odprowadzić do więzienia! — rzekł Daponte zwracając się do obecnych oficerów.

Oficerowie otoczyli Jinga, miotającego się w bezsilnej wściekłości.

— Precz z moich oczów! — zawołał admirał. — Niech człowiek ten swoją obecnością nie plugawi dłużej tych świętych dla mnie miejsc, tej siedziby moich przodków!

Daponte z pogardą spoglądał na Jinga, którego oficerowie wyprowadzali z salonu; ślepo zaufał temu nędznikowi i ileż przez to popełnił niesprawiedliwych czynów.

— Spełniły się nareszcie moje marzenia — wzruszonym głosem rzekł hrabia Mirafiore. — Oto jestem w siedzibie moich przodków... do serca przyciskam moją ukochaną córkę! A gdzie jest mój stary, wierny Andrea? — zapytał po chwili.

— Nikczemny Jingo zamordował wiernego sługę — ze łzami w oczach odrzekła Edyta. — Andrea odgadł całą tajemnicę i dlatego zginął.

— Biedny stary! A gdzie jest mój portret, który wisiał na tej oto ścianie? — zapytał admirał.

— Andrea mi mówił, że Jingo zniszczył portret.

— Zawierał on ostatnią moją wolę. I to nawet wyszperał ten nędznik.

Daponte zbliżył się do admirała.

— Przykre było przybycie wasze do pałacu hrabio — rzekł. — Ale przysięgam na honor, że nikt z nas nie przypuszczał możliwości podobnej zbrodni. Dzięki Bogu powróciliście i łotr został zdemaskowany. W imieniu rzeczypospolitej, wracam was hrabio do dawnych praw. Wszystko co się stało podczas waszej nieobecności, ulegnie najsurowszemu śledztwu!

Contarini również wypowiedział słowa współczucia. Senatorowie i prokuratorowie pożegnali admirała i wyszli z pałacu.

Capello tylko i Edyta towarzyszyli admirałowi, przechodzącemu przez wszystkie pokoje, z radością witającemu wszystkie zakątki pałacu.

— Muszę ci drogi ojcze uczynić wyznanie — rzekła Edyta. — Signor Capello może być świadkiem. Wiem ojcze, że pragniesz mojego szczęścia.

— Nie mylisz się moje dziecię — odrzekł admirał.

— Czy przypominasz sobie przyjaciela naszego ukochanego Wirgiljusza?

— Masz na myśli Rodriga Zeni?

— Tak mój ojcze. Rodrigo Zeni jest moim małżonkiem — wyznała Edyta.

— A więc jesteście młodą wdową, signoro! — ze smutkiem rzekł Capello.

— Czyż Rodrigo nie żyje?! — zawołał admirał.

— Wszyscy sądzą, że padł ofiarą nienawiści Jinga, ale mąż mój Rodrigo żyje!

— Niepodobna — zawołał Capello.

— A jednak tak jest! I proszę was monsignore, oznajmijcie radzie dziesięciu, że wskutek niesprawiedliwego oskarżenia, na śmierć skazany Rodrigo żyje, pomimo, że wyrok był wykonany, pomimo, że zepchnięto go z mostu westchnień!

— Spełnię wasze życzenia, signoro! — odrzekł Capello.

— Szczęśliwym będę, błogosławiąc ciebie i Rodriga! — ze łzami w oczach rzekł hrabia.

— A teraz spocznijcie hrabio — rzekł Capello i pożegnawszy ojca i córkę, wyszedł z pałacu.

ROZDZIAŁ LV.

Martwa oskarżycielka

Powróćmy teraz do Rodriga, którego stary Jacopo ukrył w swojej chacie.

Poczciwy stary dokładał wszelkich starań, aby gościowi swemu zapewnić wygody. Stracił jedyne dziecię, które ukochał nad wszystko; dziś serce posiadało dwie istoty na ziemi: Edytę i Rodriga. Z poświęceniem własnej osoby, pomagał im i bronił tych, których ukochał. Jacopo był świadkiem wjazdu admirała; powitawszy go na progu kościoła Św. Marca, pospieszył do łódki, pozostawionej przy schodkach wiodących na placyk Piazetta i za chwilę ile starczyło sił, płynął na wyspę San Nicolo. Pragnął jak najspieszniej zawiadomić Rodriga o wjeździe hrabiego. Stary wyławiacz trupów cieszył się, że Rodrigo powróci niebawem do dawnych praw, mogąc łatwo dowieść swojej niewinności.

Jacopo przybił do brzegu, przymocował łódkę i pospieszył do ubogiej chatki.

Na progu stał Rodrigo.

— Przybywam z dobrą wiadomością, monsignore — zawołał Jacopo. — Już nie potrzebujemy zaryglowywać drzwi.

— Nie rozumiem was — rzekł Rodrigo.

— Czyż nie słyszeliście wystrzałów armatnich, monsignore? — zapytał Jacopo.

— Cóż one oznaczają?

— Wielką uroczystość! Jaśnie oświecony hrabia Mirafiore przybył do Wenecji!

— Co słyszę? Ale czy to prawda?

— Jak najprawdziwsza, monsignore. Admirał jest w Wenecji.

— A gdzie jest Edyta?

— Przy boku admirała, który ją wszystkim przedstawił jako swoją córkę.

— Nareszcie Bóg zawsze miłosierny, ulitował się nad nami — zawołał Rodrigo.

— A teraz pójdźcie ze mną, monsignore. Niedługo zapadnie wieczór, zawiozę was do pałacu Mirafiore, gdzie z rąk hrabiego otrzymacie błogosławieństwo.

Rodrigo był posłuszny wezwaniu wyławiacza trupów. Skoro doszli do łódki, do brzegu przybliżyła się łódź, a w niej kilku rybaków.

— Hej, Jacopo! — zawołał jeden z nich. — Na kamieniach przy czarnym palu leży trup.

— Dobrze — odrzekł Jacopo i wszedł z Rodrigiem do łódki.

— Może chcecie popłynąć do czarnego pala — zwracając się do Jacopa rzekł Rodrigo.

— Wolałbym wpierw odwieźć was monsignore do pałacu — odrzekł Jacopo.

— Nie zaniedbujcie swoich obowiązków; popłyńcie do czarnego pala, niesumiennie jest tak długo pozostawiać ciało, należy je pogrzebać jak najprędzej.

— Spełnię wasze życzenie, monsignore — rzekł Jacopo i popłynął do pala.

Łodka niebawem zbliżyła się do mchem obrosłych kamieni. Rodrigo ciekawie spoglądał na kamienie.

— Widzę trupa — zawołał po chwili.

— Święty Nicolo — rzekł Jacopo, — ależ to wdowa po Sebastjanie.

— Stefana, o której tyle opowiadaliście mi, Jacopo? — zapytał Rodrigo.

— Tak, to ona! Monsignore, odwiozę was do miasta, a potem pochowam ją.

— Nie, nie, Jacopo — rzekł Rodrigo wyskoczywszy z łódki, skoro zbliżyła się do kamieni. — Patrzcie, Stefana nie otonęła, na szyji jej widzę ranę.

— Prawda, monsignore — zbliżywszy się do trupa, potwierdził Jacopo. — Spełniona została zbrodnia. Trupa należy przewieźć do Wenecji, a tam niech przeprowadzą śledztwo.

— Uczyńmy to. Patrzcie Jacopo, ona w kurczowo zaciśniętej dłoni trzyma sztylet, broniła się widocznie.

— Macie słuszność, monsignore — rzekł Jacopo, bacznie przypatrując się sztyletowi. — ale broń jest kosztowna i zapewne nie była jej własnością. Morderca zatopił ten sztylet w jej szyji, a ona umierając, wyrwała go z rany, za chwilę ręka zlodowaciała, zatrzymując narzędzie śmierci; sprawiedliwość Boża chciała, aby po narzędziu poznano mordercę. Oho, patrzcie, monsignore, może przeczucie nie omyliło mnie; na rękojeści wyrzeźbione są pierwsze litery imienia i nazwiska: W. M.

— Wirgiljusz Mirafiore! — zawołał Rodrigo.

— Domyślałem się tego. Stefana była wtajemniczoną we wszystkie występki Jinga, była jego wspólniczką.

— Okropne! — szepnął Rodrigo.

— Jeżeli jest jeszcze ktośkolwiek, wątpiący o jego nikczemności, ta oto martwa kobieta będzie jego oskarżycielką. A teraz pomóżcie mi monsignore włożyć trupa do łódki i płyńmy do Wenecji.

Za chwilę ciało leżało na dnie łodzi. Jacopo przykrył je starym żaglem, chcąc uchronić Rodriga przed odrazę budzącym widokiem.

Jacopo silnie wiosłował, pragnął jak najprędzej przybyć do Wenecji. Wpłynąwszy na wielki kanał, co chwila spotykali gondole zdobne w różnokolorowe lampy i kwiaty. Łódka przybiła do schodków pałacu Mirafiore; Rodrigo podziękował wyławiaczowi trupów za okazaną mu pomoc i szybko pobiegł do swojej ukochanej Edyty. Na spotkanie jego wybiegło kilku służących; rozkazał im zaprowadzić się do admirała.

Jeden ze służących zapytał go o nazwisko.

— Oznajmij małżonka signory — odrzekł Rodrigo.

Za chwilę otworzyły się drzwi wiodące do pierwszego salonu i na progu ukazała się Edyta.

— Mój Rodrigo! — zawołała wyciągając do niego ramiona.

— Nareszcie odnajduję cię — zawołał Rodrigo, chwytając ją w objęcia.

— Mój ojciec oczekuje cię z niecierpliwością — rzekła Edyta.

— Gdzie jest admirał? — zapytał Rodrigo.

Edyta zaprowadziła męża do salonu, w którym znajdował się hrabia. Otaczali go członkowie rady dziesięciu; pomiędzy nimi znajdowali się Daponte, Capello i Contarini. Admirał opowiadał im wszystkim swoje nieszczęścia, które były jego udziałem, od czasu kiedy wyjechał z Wenecji na czele wyprawy przeciw piratom.

Nagle na progu ukazała się Edyta, wiodąc za rękę Rodriga. Admirał natychmiast poznał go.

— Szlachetny Rodrigo Zeni. Spojrzcie monsignore, małżonek córki przyszedł powitać ojca.

Senatorowie nie wierzyli swoim oczom. Czy to w rzeczywistości Rodrigo Zeni?

— Widok Rodriga zadziwia was, monsignori — rzekła Edyta wskazując męża, klęczącego u stóp ojca. — Rodrigo został skazany na śmierć, zepchnięto go nawet z mostu westchnień, ale szczęściem został wyratowany przez przyjaciela.

Rodrigo powstał i opowiedział obecnym przez kogo i w jaki sposób został uratowany.

— Dzięki Bogu, że chociaż jedna ofiara Jinga została uratowaną — rzekł Daponte. — Nędznik ten nie ujdzie teraz zasłużonej kary. Wy szlachetny Rodrigo Zeni jesteście uwolnieni od wszelkiej odpowiedzialności, a rada dziesięciu powróci wam dawne prawa.

Tymczasem Jacopo dopłynął do sklepionego domku. Przymocowawszy łódkę, pospieszył do izby, a stamtąd przez korytarze do więzienia. Jeden ze strażników zaprowadził go do kapitana Bemba.

— Przybywam z ważnem doniesieniem, kapitanie — rzekł Jacopo. — Na wyspie San Nicolo woda wyrzuciła ciało Stefany. Mam pewne dane, aby twierdzić, że kobieta ta została zamordowaną.

— Zamordowana? — zawołał Bembo.

— Widziałem ranę na szyji, oprócz tego w zaciśniętej dłoni tkwił sztylet.

— A więc to samobójstwo.

— Nie kapitanie. Sztylet jest za kosztowny, aby mógł być jej własnością, a zresztą na rękojeści są inicjały.

— Czy macie go?

— Oto jest!

Bembo oglądał sztylet.

— Co to jest? — zawołał — litery i hrabiowska korona dowodzą, że jest on własnością Wirgiljusza Mirafiore.

— Tak kapitanie. To własność tego fałszerza. Stefana była wspólniczką Jinga.

— Zaczekajcie tu na mnie; pójdę zawiadomić o zaszłym wypadku prokuratora z San Marco — rzekł Bembo. — Gdzie jest ciało?

— W sklepionym domku, kapitanie.

Bembo odszedł i niebawem powrócił z prokuratorem; rozkazali oni wyławiaczowi trupów zaprowadzić się do domku. Jacopo przyszedłszy do izby, zmuszony był raz jeszcze opowiedzieć, gdzie i kiedy znalazł trupa. Dandolo przywołał zbirów i rozkazał im zanieść ciało do jednej z pustych cel; tu położono je na noszach. Kilka płonących świec oświecało celę i trupa. Zoł-

nierze stanęli koło drzwi. Dandolo wraz z wyławiaczem trupów pozostał w celi, wydawszy przedtem kapitanowi rozkaz, wymówiony cichym głosem. Jacopo nie wiedząc co nastąpi, z ciekawością oczekiwał dalszych wypadków.

Wkrótce potem otworzyły się drzwi, a na progu stanął blady jak trup Jingo. Obłąkanym wzrokiem spojrzał na obecnych, a potem na trupa. Widok ten wywarł na nim przerażające wrażenie; oczy jego stanęły słupem.

— Znasz umarłą! Jingo Foscari? — zapytał Dandolo.

— A cóż mnie obchodzi ten trup? — zdławionym głosem rzekł Jingo.

— Musisz odpowiadać, inaczej tortury zmuszą cię do tego — odrzekł prokurator. — Znałeś umarłą?

— To Stefana — jęknął Jingo.

— Wiesz w jaki sposób zginęła?

— Nie wiem — krótko rzekł Jingo.

— A znasz ten sztylet? — zapytał prokurator, pokazując mu narzędzie śmierci.

Jingo zadrżał.

— To twój sztylet. Ty zamordowałeś swoją wspólniczkę. To ostatnia ofiara twojej nikczemności. Wyprowadzić więźnia!

Teraz Dandolo zwrócił się do Jacopa.

— Pochowajcie ciało! — rzekł.

Sztylet zatrzymał u siebie...

ROZDZIAŁ LVI.

Powrót doży

Rada dziesięciu odbywała następnego dnia nader ożywioną sesję. Prokurator z San Marco, oskarżający oddanego pod sąd Jinga Foscari'ego, przywołał czterech ludzi, którzy zaświadczyli, że zamordowany wierszarz Peci, został zapłacony przez mniemanego hrabiego, za wzbudzenie powstania i skierowanie poszlak na dożę, jako winowajcę spisku. Niewinność doży została dowiedzioną. Dandolo objaśnił, że oskarżenie doży upadło, a więc i wyrok powinien być skasowany. Wskutek narad, postanowiono Jinga Foscari'ego nocą przewieźć z więzienia na jedną z galer państwowych. Doża zaś miał otrzymać pozwolenie powrotu do Wenecji; sprzymierzeńcy jego również uwolnieni byli od wszelkiej odpowiedzialności, przeciwnie należała im się wdzięczność, za uchronienie signorji od nowej zbrodni. Obecny na posiedzeniu Capello, powstał ze swojego miejsca i zawiadomił radę dziesięciu, że gotów jest sprowadzić dożę do Wenecji.

— A więc wiecie gdzie przebywa doża? — zapytał Daponte.

— Doniesiono mi, że galera we Włoszech zarzuciła kotwicę — objaśnił Capello. — Doża zamierza udać się do Rzymu i tam spędzić resztę dni swoich, które zatruła niewdzięczność i niesprawiedliwość.

— Do doży muszą pojechać posłowie — rzekł Contarini — oni zawiadomią go o zaszłych wypadkach. Przedtem jednak niesprawiedliwy wyrok musi być podarty na publicznym placu, wobec całego ludu.

Słowa te zjednały sobie ogólny oklask. Rehabilitacja doży powinna być publiczną. Wyznaczono senatorów i prokuratorów, którzy mieli się udać do niewinnie osądzonego starca. Contarini oznajmił, że pragnie stanąć na czele poselstwa. Nawet zawsze surowy Daponte stanął po stronie doży; przystąpił on do Contariniego i rzekł:

— Zgadzam się z waszym wnioskiem; obowiązkiem naszym jest przekonać księcia rzeczypospolitej, że oszukano nas w najbezczelniejszy sposób. Ale cóż czynić? Wszyscy jesteśmy omylni. Wszyscy sprzymierzeńcy doży mogą bez obawy powrócić do Wenecji.

— Spełnię ten zaszczytny obowiązek i sprowadzę wszystkich — rzekł Contarini.

Następnie wraz z kilkoma senatorami udał się do arsenału. Tu natychmiast przygotowano jedną z państwowych galer. Posłowie weszli na jej pokład i niebawem wyruszyli w podróż. Capello wiedział gdzie się ukrywa doża, galera popłynęła w kierunku wskazanym przez admirała.

Tymczasem w Wenecji rozległ się dźwięk trąb. Tłumy narodu w jednej chwili otoczyły wysłańców wysokiej rady. Skoro umilkły trąby, jeden z woźnych trybunału odczytał odwołanie wyroku. Wszystkim się zdawało, że ich słuch mylił. Dotychczas nie zdarzył się podobny wypadek. Wyrok odwołano i zawiadomiono naród, że śledztwo wykazało zupełną niewinność doży, a natomiast odkryto prawdziwego sprawcę, który ulegnie jak najsurowszej karze. Pośród tłumu zapanowała radość. Sędziwy doża cieszył się ogólną sympatją. Wyrok nader smutne na wszystkich uczynił wrażenie. Radość ludu powiększyła się, skoro ogłoszono, że doża niebawem powróci do Wenecji i na nowo obejmie swoją godność.

Galera na której popłynęli posłowie, po niedługiej i szczęśliwej podróży dopłynęła do małego miasteczka, w którem przebywał doża. Doża przygnębiony, postanowił wypocząwszy tu, udać się wraz ze swoimi sprzymierzeńcami do Rzymu. Właśnie miał zamiar opuścić miasteczko, dosiadł już konia, kiedy przybiegł doń Memmo.

— Spieszmy się — zawołał wzruszony. — Do portu przybyła wenecka galera.

— Jakto? Czyż to pogoń? — zawołał doża.

— Zaczekajcie na mnie chwileczkę — rzekł Donato — pobiegnę dowiedzieć się co to znaczy.

Donato pobiegł do portu. Memmo zaś naglił dożę do odjazdu.

— Ze strony tajnego trybunału nie możemy się spodziewać nic dobrego — rzekł smutno. — Dopóki Mirafiore rządzi Wenecją, nie jesteśmy bezpieczni w naszej ojczyźnie.

— Ale przecież tu nic nam nie zagraża — zadecydował Erizzo.

— Spojrzcie w tamtą stronę! Co to znaczy? — zawołano w gromadce, otaczającej dożę.

— Z portu wyszło kilku senatorów!

— Donato biegnie do nas.

— Galera jest przyozdobiona flagami. Na głównym maszcie powiewa chorągiew ze złotym lwem. Zawieszają ją wtedy tylko, kiedy doża znajduje się na pokładzie.

— Najświętsza Panno! — zawołał doża. — Poznajecie senatora idącego na czele gromadki?

— Contarini! — zawołał Erizzo.

— Obok niego idzie Capello — zawołał inny.

— Donato wita ich.

— Ludzie ci nie przybywają jako nasi prześladowcy — zawołał Memmo. — Contarini jest naszym przyjacielem.

Do doży przybiegł Donato.

— Radosna nowina, jaśnie oświecony dożo — zawołał. — Najwyższy trybunał wydelegował posłów, którzy oznajmią wam panie, że Orest hrabia Mirafiore powrócił do Wenecji, że wina fałszerza, podszywającego się pod szlachetne nazwisko, została dowiedziona, że wykryto wszystkie zbrodnie Jinga Foscarego.

— Oh, Bóg jest sprawiedliwy — zawołał doża.

Alcanto, stojący obok doży, nie mógł ukryć swojej radości; śmiał się i płakał na przemian.

Capello, Contarini i inni senatorowie zbliżyli się do księcia rzeczypospolitej.

— Słyszałem monsignore, że przybywacie z radosną wieścią — rzekł sędziwy doża. — Czy to prawda, że admirał powrócił i zdemaskował tego nędznika?

— Przybywamy, aby wyrazić jaśnie oświecony panie, miłość i wierność, jaką rzeczpospolita żywi względem was — wzruszonym głosem rzekł Contarini — Spójrzcie na galerę: powiewają na niej weneckie chorągwie, armaty jej witają was w imieniu Wenecji. Najwyższy trybunał, przekonany o waszej niewinności, wzywa was na dawne stanowisko. Kochający lud oczekuje na swojego księcia. Zapomnijcie panie o wszystkich zgryzotach, o doznanem poniżeniu i z dumnie wzniesioną głową powróćcie do Wenecji.

Antonio Priuli uścisnął dłoń Contariniego.

— Dziękuję wam — rzekł. — Spodziewałem się tego. Spodziewałem się, że hrabia Mirafiore powróci i zdemaskuje tego nikczemnika. A teraz proszę was, powtórzcie moje słowa signorji; niech nikt nie ośmiela się podejrzewać mnie o ucieczkę. Postanowiłem ponieść niezasłużoną karę, spytajcie o to otaczających mnie przyjaciół; oni to postanowili ocalić mnie i podstępem wyrwali z rąk kata. Teraz wzywacie mnie na tron. Powiedzcie signorji, że Antonio Priuli powróci do Wenecji, ale jako człowiek tęskniący za ojczyzną i pragnący umrzeć tam gdzie się urodził!

Do koła zapanowało milczenie.

— Jaśnie oświecony panie — po chwili rzekł Contarini — nie mogę wpływać na wasze postanowienia, ale proszę was, wejdźcie na pokład okrętu, przyozdobionego emblematami waszej godności.

— Nie, mój szlachetny Contarini! Powrócę do Wenecji na galerze, na której tu przybyłem.

Contarini i jego towarzysze doszli do przekonania, że nie zdołają zmienić postanowienia doży. Zdołali jednak wyjednać pozwolenie, aby obie galery równocześnie wyruszyły w drogę. Doża podczas podróży, bezustannie wyrażał do swoich przyjaciół radość, jaką napełnia jego serce powrót admirała.

— Cieszę się, że admirał, którego wszyscy uważaliśmy za umarłego, powrócił do Wenecji i że córka jego Edyta Almafi, po tylu cierpieniach została obdarzona wszystkiem, na co zasługuje tak szlachetne serce!

Memmo opowiedział doży historję uratowania Rodriga Zeni, którą usłyszał od Contariniego.

Starzec złożył ręce.

— Nowy dowód sprawiedliwości Boga — zawołał. — Rodrigo Zeni był oskarżony wskutek intrygi nikczemnego Jinga. Dzięki Bogu, że został ocalony.

Następnego dnia galery zbliżyły się do arsenału. Powitało je grono wystrzałów armatnich. Na wodzie krążyła niezliczona ilość gondol. Doża wyszedł na pokład. Teraz zagrzmiały radosne okrzyki ludu. Mężczyźni w górę podrzucali czapki, kobiety powiewały chustkami. Pod arsenałem oczekiwali prokuratorowie, senatorowie i kilku członków rady dziesięciu; na czele ich stał Daponte. Wszystkie galery były świetnie przystrojone. Przepyszna gondola doży oczekiwała, by zawieźć do Wenecji powracającego księcia rzeczypospolitej. Pomiędzy gondolami szlachty weneckiej, można było zauważyć przepyszny stateczek, na którego pokładzie znajdował się hrabia Mirafiore z Edytą i Rodrigiem Zeni. Doża w gondoli przepłynął na brzeg.

Skoro wyszedł na brzeg i ujrzał Dapontego, czoło jego pokryła chmura, wiedział bowiem, że on to wraz z Jingiem wydał nań hańbiący wyrok. Daponte jednak zbliżył się do doży i skłonił się z szacunkiem.

— Witamy cię jaśnie oświecony panie — rzekł drżącym głosem. — Oskarżamy się o spełnienie niesprawiedliwości i wyrażamy nadzieję, że przeszłość pójdzie w zapomnienie i powrócisz panie na dawne stanowisko i pomożesz nam w ukaraniu winnego.

— Dziękuję Bogu, że prawda wyszła na jaw — rzekł doża. — Niechaj młodszy odemnie obejmie tę zaszczytną godność. Do was nie mam żadnej urazy; byliście oszukani, tak jak wielu innych; nie miejcie mi za złe, że pragnę przepędzić resztę dni moich zdala od życia publicznego.

— A więc prosimy was, jaśnie oświecony panie — rzekł Daponte — chwilowo obejmijcie swoją godność w celu przewodniczenia podczas wyboru nowego doży. Patrzcie panie na ten lud, pragnący was powitać!

Doża skinieniem ręki dziękował zgromadzonym tłumom.

Teraz do brzegu zbliżyła się gondola hrabiego Mirafiore, i niebawem do doży podszedł admirał wraz z córką i zięciem. Antonio Priuli uścisnął admirała, na czole Edyty złożył ojcowski pocałunek, a Rodrigowi wyraził radość z powodu jego ocalenia. W oczach każdego jaśniała łza, każdego wzruszyło wzajemne witanie się tych starców, którzy od tak dawna się nie widzieli.

— Hrabio Mirafiore! — zawołał doża. — Dwaj wierni synowie ukochanej ojczyzny spotkali się po tak długiej rozłące. Cieszę się, że powróciliście, że obdarzycie spokojem zacną istotę, jaką jest wasza córka. My zaś pozostaniemy przyjaciółmi, których śmierć tylko będzie w stanie rozłączyć.

Doża zaprosił hrabiego Mirafiore do swojej gondoli i teraz wszyscy płynęli do Wenecji. Cały placyk Piazetta był napełniony narodem; rzec można, że był wybrukowany głowami ludzkiemi. Gromkie okrzyki powitały gondolę doży. Doża otoczony dostojnikami państwowymi, udał się do pałacu, który opuścił wbrew własnej woli. Daponte i Contarini wprowadzili go do sali tronowej, gdzie była zgromadzona cała signorja. Sędziwy Priuli raz jeszcze zasiadł na tronie, z którego niedawno strąciły go niecne intrygi.

— Bóg dał, że sprawiedliwość zajaśniała całą potęgą swojego światła — rzekł wzruszony. — Cieszę się, że rada dziesięciu przekonała się o mojej niewinności; dziękuję za powtórne ofiarowanie mi godności księcia rzeczypospolitej, ale zrzekam się jej! Jam już stary, niechaj młodszy, obejmie władzę.

W salonie było słychać gwar uszczęśliwionego ludu. Powrót doży wszystkie serca napełnił radością. Skoro mrok zapadł, plac św. Marca zajaśniał tysiącem różnorodnych świateł. Każdy z mieszkańców Wenecji, zaopatrzony w latarkę, spacerował po placu, rozmawiając ze znajomymi o ubiegłych zdarzeniach.

ROZDZIAŁ LVII.

Wspólnicy wierszarza

Zaledwie rozległa się wieść o aresztowaniu mniemanego Wirgiljusza hrabiego Mirafiore, mnóstwo gondol zbliżyło się do pałacu; siedzące w nich osoby wiedzione ciekawością, pragnęły zbadać dalszy przebieg całej tej zagadkowej sprawy.

(Dokończenie w następnym numerze.)

HUMOR

W klubie spirytystów

— Nie wiem, co to znaczy, — denerwuje się medjum — już od dwudziestu minut wzywam ducha męża pani, a on się nie zjawia!

— Trochę cierpliwości. Mój mąż był kelnerem!

W więzieniu

Naczelnik więzienia do niesfornego więźnia:

— Zachowujecie się tak skandalicznie, że jeżeli nie poprawicie się, to wyrzucę was z więzienia na zbity łeb!

Rozkosz

— Bój się Boga, człowieku, przecież twoja żona tak okropnie rzępoli na tym fortepianie, że można się wściec! Po jaką cholerę kupiłeś jej ten przeklęty instrument?

— Jej gra sprawia mi piekielną rozkosz, bo widzisz, ja gniewam się z moim sąsiadem.

Kobieta

— Czyś ty powiedziała narzeczonemu, ile masz lat?

— Tak.... częściowo.

Pensjonat dla pań

— Więc szanowna pani zdecydowała się wybrać mój pensjonat ze względu na rozgłos jakim się cieszy jego kuchnia?

— Tak! Moja przyjaciółka bawiła tu dwa tygodnie i straciła siedem kilo na wadze.

Kłopoty mężczyzny

Pan, otwierając przedział wagonu na widok kilku pań, palących papierosy:

— Przepraszam bardzo, czy to jest przedział dla kobiet, czy dla palących?

Księgowość na czasie

— Panie dyrektorze, jak mam wpisać sumę 12-tu tysięcy złotych, z którą zbiegł kasjer?

— Niech pan wpisze na „wydatki bieżące."

Ciężki sen

Syn kłusownika: — Jestem mamo strasznie zmęczony!

Matka: — Jakżesz to możliwe, Fredku, przecież spałeś noc całą i dopiero wstajesz z łóżka.

— Tak, mamo, ale mnie się śniło, żem pomagał dźwigać te dwie sarny, które tatuś przedwczoraj ubił.

Osobliwość

Antykwarjat. Jakiś antyk-idjota szpera w poszukiwaniu antyk-warjactwa. Znajduje wreszcie jakiś gruchot z lufą.

— To jest niezwykle cenny pistolet — mówi sprzedawca — pochodzi on z czasów Mieszka I.

— Przecież w tych czasach nie znano jeszcze broni palnej.

— Właśnie. I dlatego też ten pistolet jest taki cenny.

W sklepie

— Pani odsyła tego bażanta, bo już czuć go.

— A cóż, to pani wasza kupuje bażanta do wąchania, czy do jedzenia?...

Przecinek na fałszywem miejscu

Jaki brak sensu może powstać, gdy ktoś w zdaniu nakreśli przecinek w niewłaściwem miejscu, wykazuje następujące zdanie:

Do izby wszedł zielonka na głowie, miał czapkę na nogach, kamasze naokoło bioder, płaszcz długi w zębach, papieros w oczach, wesoły wyraz.

Na balu medyków

Tancerz do swej partnerki: — Pani jest chyba zadowolona, że w tym roku mamy taki długi karnawał?

— Naturalnie, spodziewam się nawet, że i pan jest zadowolony, tyle okazji, aby nauczyć się tańczyć.

Dziwne drogi

— Jakiemiż to u licha dziwnemi drogami trudności finansowe sprowadziły pana tu do kliniki ze złamaną nogą?

— A widzi pan to było tak: gdy szedłem sobie na spacer ulicą, spostrzegłem, że naprzeciwko mnie idzie po chodniku jeden z moich wierzycieli — chciałem więc przejść na drugą stronę ulicy; gdy jednak dochodziłem już do drugiego chodnika, patrzę, a tam idzie znowu drugi wierzyciel — cofnąłem się mimowoli na środek ulicy i w tym momencie najechał na mnie samochód...

Przyczyna

— Zdumiewająco szybko pracuje ta nowa urzędniczka w sortowni listów. W ciągu jednej godziny przesortowała 8 tysięcy listów.

— Nic dziwnego, spodziewa się listu od swego chłopca.

PREDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 95 groszy, kwartalnie zł. 2,85. Pod opaską miesięcznie zł. 1,50, kwartalnie zł. 4,50 Zagranicą 1,50 zł miesięcznie. Wrazie wypadków spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku lub t. p. wydawnictwo nie odpowiada za dostarczanie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.) ulica Śniadeckich 8. Telefon 32.

Rękopisów nie zwraca się.

P. K. O. Nr. 207.393.

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,- zł, 1/4 str. 225,- zł i td. Wiersz milimetrowy szerok. 31 mm. 25 gr. Drobne ogłoszenia za każdy wyraz 10 gr, dla poszuk. pracy 50%, zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50%. Ogłoszenia przyjmuje się 10 dni przed datą numeru.

Redaktor naczelny i wydawca ALFRED KSYCKI — Redaktor odpowiedzialny MARJA ZEMMLERÓWNA — Drukarnia L. KSYCKIEGO w Żninie.